Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

O PTACTWIE NA UKRAINIE

PRZEZ

Marcellego hr. Tyszkiewicza.

(Dokończenie).

Był u nas pułkownik Złotnicki, doskonały myśliwy, ale jeszcze większy gastronom. Przyjechał on do mnie, żeby zapolować na bekasy w połowie Sierpnia, miałem dobrą rudę, zwaną „dźwiniaczem“, szeroką na pół mili, a na dwie długą, złożoną z łóz, jeziorek, oczeretów, ale najwięcej z bekasiego błota. Wyruszyliśmy raz na nią bardzo rano wziąwszy zapas jedzenia i napojów. Złotnicki miał dobrego psa, a ja znakomitą moją Belfę, sukę gładką, czystej krwi angielskiej. Jako gospodarz musiałem pułkownikowi pierwszeństwo zostawiać, lubo znał on tę rudę tak dobrze, jak ja. Chodziliśmy więc o kilkaset kroków od siebie oddaleni, i do południa mieliśmy prawie równą liczbę zwierzyny, a po posileniu się i wypoczynku zdążyliśmy ku miejscu, gdzie zwykle bywało najwięcej dubeltów. Była to niewielka odnoga, zupełnie osobna. Pułkownik proponuje, by on sam ją zchodził, bo na dwóch za mała. — Trzeba wiedzieć, że pułkownik był zazdrośnym i chciwym myśliwym, a wszystko, co ubił, zabierał jako swoją własność. Robił on wyborne konserwy z dubeltów, puszki blaszane miał zawsze ze sobą. Każda puszka na jednego dubelta. Ptaka oskubanego przypieczonego trochę na rożnie wkładał do takiej puszki, zalewał masłem albo gęsim smalcem, a służący zalutowywał puszkę hermetycznie i odnosił do lodowni. Ale wracam do polowania. Rozeszliśmy się od siebie na dobre ćwierć mili. Tam, gdzie ja poszedłem, było więcej łóz, mogłem się przeto spodziewać przeważnie chruścieli i przepiórek, ale jak wielką była moja radość, gdy Belfa zrobiwszy naprzód wielkie koło, następnie mniejsze przylgnąwszy brzuchem do ziemi poczęła ściągać do stada kuropatw, które po dwóch strzałach rozbiły się w niewysokich łozach. Ostatecznie z zachodem słońca gdyśmy się do wózka zeszli pytał mnie pułkownik do czego tak zawzięcie strzelałem, wysypałem mu jako odpowiedź siedmnaście kuropatw z torby. Myślałem, że mnie żywcem zje z gniewu i gorzkie mi czynił wyrzuty, żem go nie przywołał, a dodać należy, że młoda kuropatwa była jego najulubieńszą zwierzyną. Pułkownikowi często płatano figle. Raz u marszałka Madejskiego na kilkudniowem polowaniu, kiedy wieczorem po obiedzie pułkownik nabrał śliwek renglotów i kładąc się do łóżka włożył je pod poduszkę, bo w nocy zwykle budził się i jadł, — Ernest Żywuski, który to spostrzegł umieszczony w jednym pokoju z Podhorskim i pułkownikiem, wykradł mu śliwki i w ich miejsce podłożył pomidory. Nie śpiąc wyczekiwali skutku tego figla. Może po godzinie budzi się pułkownik, sięga pod poduszkę, i wkłada w usta pomidora, ale rychło go wypluwa, a sądząc, że to zepsuta śliwka, bierze

drugiego, i tożsamo spluwanie się powtarza. Wtedy towarzysze parsknęli serdecznym śmiechem, a pułkownik poznawszy psotę gniewał się i długo im tego zapomnieć nie mógł. Doskonałym był kucharzem, a gdzie przyjechał, tam naprzód zaglądnął do kuchni, nim się z gospodarstwem przywitał, a zawsze jakąś nowalijkę ze sobą przywiózł i dodał do obiadu. Raz jadąc ze mną kupił w miasteczku wisień zaledwie się pojawiających i przez całą drogę rachował, ile osób zastanie, wiele pierogów będzie z tych wisień i o ile dla wszystkich wystarczą. Przyjeżdżamy, i widzimy dwóch synów gospodyni, nie wchodzących w rachunek pułkownika, dano obiad, ale pierogi się nie pojawiły, gdym chciał zapytać o nie, pułkownik mi szepce: „nadto nas wiele, zapraszam cię po obiedzie do altany na pierogi, sami je zjemy“. Raz zobaczył u państwa P. chowaną sarnę tak przyswojoną, że chodziła jak pies za ludźmi, pułkownik tak zręcznie się przymówił, że mu ją darowano dla córki. Na nieszczęście sarna wyskoczyła z powozu i złamała nogę, kazał ją dorżnąć i zjadł, a wszyscy byli przekonani, że z łakomstwa ją dla siebie pozyskał, nie wierząc wypadkowi. Miał on zdarzenie z dubeltem, o którem po kilku jeszcze latach z żalem wspominał. Polował w końcu Września; pies staje i porywa się dubelt, ale tak oblany, że ledwie leci, pułkownik, aby go nie rozbić, wypuszcza i strzela dwa razy, i już się oblizuje, bo dubelt zbarczony tylko podskakuje, wtem z góry spada jastrząb i unosi ptaka. Desperacya! strzelba nienabita — nie ma rady!

Ojciec mój doskonale strzelał, a bywały dnie, że do krzyków ani razu nie spudłował. Gdym był małym, brał mnie często z sobą, z bryczki przypatrywałem się, i dziwiło mnie to mocno, iż ptak spadał przed strzałem. Dańczuk często pudłował, nie pamiętam, żeby Drozdowski kiedy chybił, a Lewko bardzo rzadko, i śmiano się z niego, że nie strzelał, gdy mu się ptak nie na rękę zerwał, ale on najwięcej zwykle zwierzyny przynosił. On to nakrywał kuropatwy i kaczki, najwięcej też brał rubli za jastrzębie, a niemal co tygodnia przynosił dropia lub jakąś osobliwszą zwierzynę. Pewnego dnia przywiózł łosia, jakim sposobem pojawił się na stepie, nie wiadomo, pewnie wyszedł z jakiegoś parku, a Lewko bronując w polu spostrzegł go, dosiadł konia, i gonił go tak długo, aż zmęczony łoś zalazł w jeziorko i położył się, wtedy Lewko ruszył do wsi, przywiózł strzelbę i zabił łosia. W kniei zawsze miał najszczęśliwsze spotkanie, toż nie bez racyi zwano go Twardowskim. Dziś ojciec mój już na błocie nie poluje, tylko w kniei i jeszcze dobrze strzela. W przeszłym roku zabił u Seweryna Ab. trzy wilki. Tam jeszcze dziś po dawnemu polują z sieciami i gończymi, a myśliwstwo kwitnie i co roku pada mnóstwo wilków. Żal mnie ogarnia, iż to się dzieje bezemnie. W miejsce dawnych strzelców stanęli nowi, ci, których zostawiłem małemi dziećmi, strzelają teraz, jak mi piszą, bez pudła, aż strach mnie ogarnia, żem już tak stary, i wkrótce zejdę z pola, ale dopóki mi sił starczy, nie porzucę tej szlachetnej pasyi, mając w pamięci chorążego Siemieńskiego, który miał sto lat, a konno i ze strzelbą był zawsze pomiędzy pierwszymi. W Lisowicach też podziwiałem naszego szanownego łowczego, o dwadzieścia lat odemnie starszego, który przez dziesięć dni nieprzerwanie znakomicie i rześko nam przewodził, z wybornym apetytem jadł, i najwięcej zwierzyny bił.

Jak zapamiętam zawsze miałem szczęście do legawych psów, trzymam i wierzę w angielskie gładkie. Belfa, o której wspomniałem, była idealnie dobrą tak na błocie jak na suchem polu; była biała w kasztanowate plamy, duża ogonek cienki jak batożek, przy ogromnej budowie włos delikatny, uszy cienkie i wielkie, piękne oczy. Chodziła długim, angielskim galopem, aportowała, wiatr miała nadzwyczajny, do każdej zwierzyny stawała inaczej tak, że od razu poznawałem, do czego stanęła, a czyniła to z taką gracyą, że tylko malować. Bywało jak pomknął zając albo lis, a chciałeś, żeby pogoniła, to trzeba było tylko podłożyć a krzyknąć dalej ha! wtedy Belfa goniła jak najlepszy gończy, samowolnie zaś nigdy za zwierzem nie poszła. Jeżeli w późnej jesieni trafiłeś na stado kszyków, co to siedzą najczęściej na stawisku, a porywają się daleko i stadami, to Belfa wtedy zawsze przy nodze chodziła nosem tylko wskazując, gdzie siedzą. Nigdy nie zapomnę, jak na imieninach w sąsiedztwie, gdzie do białego dnia tańczono, umówiłem się z Kazimierzem Ab., że on do mnie przyjedzie i pojedziemy na błoto zwane: Tatarskie siedlisko. Słyszał to Władysław Padlewski, a że miał z sobą strzelbę i psa, i że mu było po drodze i bliżej, przeto nim my tam stanęliśmy, już on błoto zpolował i z pięciu dubeltami oczekiwał nas na brzegu. „Ależ to formalna zdrada“. — „Oho! — odparł — ja zakład trzymam, że gdzie mój Lord przejdzie, tam pewnie nic nie ma.“ — „Trzymam“, — odpowiadam, i stanęło o kilka butelek szampana. Zaraz pokazałem Belfie błoto, a ona z nosem do góry przebiegła nieco galopem w poprzek, raptem wstrzymała się i poczęła ściągać, oglądając się na mnie. Poznałem, że ściąga do dubelta, a ponieważ jeszcze strzelby nie nabiłem, więc kiwnięciem przywołałem Belfę do nogi. Padlewski utrzymywał, że to chruściel, ale gdym zabił dubelta, a następnie dwa jeszcze, przegrał zakład. Ztamtąd pojechałem nad rzekę Hujwę, i tam na błotach ubiłem kilkanaście sztuk kszyków i dubeltów.

Tu w Galicyi miałem kasztanowatego psa Hektora od suki hr. Kaź. Wodzickiego, po psie czystej rasy angielskiej. Znany on był ze swych zalet, z nim zabiłem niemało dubeltów na tutejszych błotach Sznyrowskich i Boudurskich. Był on duży, piękny, ogon i uszy miał cienkie, stawał z gracyą, aportował, wiatr miał górny, doskonały, do słonek na ciągu był jedyny, a takie u niego oko było bystre, że przynosił słonkę, choćby niewiem w jakie bagna i łozy zapadła. Raz już śród ciemności strzeliłem do nisko ciągnącej słonki, Hektor poszedł za nią i po chwili wrócił. Byłem pewny, żem chybił, więc strzelcy i ja dążymy już do wózków, ale Hektor ciągle mnie nosem trąca, zwracam się ku niemu i chcąc go pogłaskać dotykam słonki, którą niósł w pysku. Zginął ten wyborny pies przed dwoma laty, byłem bardzo zmartwiony, a że właśnie suka legawa u hr. Borkowskiego miała szczenięta, więc wyprosiłem jedno. Nastąpiło bekasie polowanie, piesek miał dziesięć miesięcy, wziąłem go, bom innego niemiał. Pierwszy raz stanął do dwóch kszyków i kureczki, a gdy dubelty nadciągnęły, doskonale do nich stawał. Kiedy szósty raz byłem z nim na polowaniu w Boudurach, spotkałem hr. Borkowskiego i dwóch strzelców z czarną suką i jakimś psem. We trzech zabili oni dubelta, chruściela i dwie przepiórki, ja zaś z moim młokosem pieskiem jedenaście dubeltów i trzy kszyki. Kiedy dziękowałem hrabiemu za psa, on w najgorszym humorze, bo nic nie zabił, mówi: „A wie Pan, że Ralf (tak się mój pies nazywał) nie jest synem Kory, lecz Belli“, a trzeba wiedzieć, że Bella była wierutnym gałganem, i nigdybym był po niej szczenięcia nie przyjął. Czyż to nie widoczne szczęście moje do wyżłów? Dziś już jest w trzeciem polu, wyborny to pies, wiatr znakomity, chodzi angielskim strychem i aportuje, ale staje bez gracyi i wcale nie ładny. Cóż robić, trzeba i za takiego Bogu dziękować tem bardziej, że w męskiej płci nie piękność lecz dobre przymioty mają znaczenie. Przeszłego roku polował ze mną Włoch Delwale, i przymawiał się do kupna tego psa, mówiąc, iż dałby za takiego wyżła 300 złr. Udałem,

że nie rozumiem tej przymówki. Wszystkie moje psy dostawałem szczeniętami, nie trzeba było ich uczyć, z natury stawały. Raz tylko wróciwszy z Drezna do Brodów, nie miałem wyżła, i dostałem bardzo ładną, czarną angielską sukę od K. Mł., ale ona sama polowała po błotach ze swemi szczeniętami i tak goniła, że desperacya brała, wpadała na dubelta bez zacięcia się i szła za nim światami dopóki go z oczów nie straciła lub kozła nie wywróciła w jakim rowie, których tu dosyć. Ale pomału, trzymając ją blisko siebie, udało mi się kilka sztuk przed nią zabić, czem tak się ułożyła, że zaczęła stawać, i służyła mi dobrze przez dwa lata, aż straciła wiatr, w tym też czasie dostałem Hektora.

W tej okolicy dobry pies jest niezbędny, bo knieje chociaż piękne, ale puste. Tylko dzików jest wiele i sarn miejscami, ale zajęcy prawie nie ma. Za to błota, o jakich tylko marzyć można. Sznyrowskie jest tak sławne, że słyszałem o niem na Ukrainie. Ale trzeba dobrze znać te błota, bo tak rozległe, że kto ich nie zna, przypadkiem tylko na dubelta trafić może. Ciągną się mil kilkanaście od Brodów przez Łopatyn, Stojanów aż na Wołyń, a miejscami są na pół mili szerokie.

Otóż wpadłem w gawędę, zamierzyłem mówić o ptactwie ukraińskiem, a zajechałem do brodzkich dubeltów, kończę więc na tem.

24 Maja 1882.

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Uˇbysza.

(Ciąg dalszy).

Otóż przed laty służył u starego pana w O. Kałmuk [pamiętam go z czasów mego dzieciństwa, był niezłym cieślą, ale lepszym pijakiem, spożywał wszystko, nawet padlinę, psy, których zabijaniem się trudnił, koty a nawet o zakład połykał żywe młode wróble, co wszystko własnemi widziałem oczami]. Pewnej nocy gdzieś znikł, dopiero po kilku dniach chłopi koszący trawę po ostrowach, znaleźli go nieżywego przy głębokim, przez siebie wykopanym dole. Widocznie szukał pieniędzy, a jako poganin nie spowiadający się nigdy, mógł je zabrać, ale czortowi żal się zrobiło pieniędzy, i zadusił go. A żyd Nachman, krawiec! czy go to nie nadybał bezpięty, gdy szedł na robotę do Tehlowa? Przyczepił się do niego jakiś jegomość, ubrany jak żyd niemiecki, zaczął z nim rozmawiać po żydowsku, palił fajkę i podał ją Nachmanowi, idą, idą, idą, aż zeszli z drogi. Czort, bo to on był, mówi: ja cię zaprowadzę, bo sam nie trafisz, i zawiódł go, ale nie do Tehlowa, jeno na Woronowskie błota. Opatrzył się Nachman, i zaczął łająć towarzysza, przyszło do bójki, aż czort go wrzucił do niegłębokiego jeziorka, a sam szczezł, a Nachmana koniuchy wyciągnęli z wody". — Gdzież u nas moczary, góry, uroczyska lub ruiny zamków bez krążących opowieści i cudownych baśni! Wszakżeż to poezya ludowa. Przechodzą te tradycye z pokolenia w pokolenie, istny skarb przeszłości, o którym wzniośle wspomina nasz wieszcz nieśmiertelny:

„O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!
Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy,
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła!"

Po tej gawędce usnąłem. Słońce wysoko już wypłynęło na horyzont, kiedy się zbudziłem, mocno żałując straconego widoku wschodu słońca, a szczególnie porannego ruchu i gwaru ptactwa. Wasyl wcześniej zbudziwszy się, cichaczem ruszył na błota strzelając do wszystkiego, co się nawinęło. Zaciekł się daleko, więc długo na niego czekać musiałem. Bardzo byłaby mi się przydała strzelba, bo byłem świadkiem różnorodnych powietrznych wyścigów. Po nad ostrową przelatywała ceranka, a wtedy za nią zjawia się jastrząb gołębiarz i spada na nią, umknęła mu, a on w zapędzie przypadł aż prawie do ziemi, ale zwinął się i pędem strzały wzleciał za ulatującą ceranką, która jakby mojej pomocy wzywała, wprost na mnie lot swój zwróciła. Palnąłem z pistoleta do napastnika, naturalnie bezskutecznie, ale odstraszyłem go przynajmniej. Jastrzębie gołębiarze, kobuzy, szulaki, i tak zwane stawniki, odmienne są od swych współplemieńców. Wierzchem ciemno orzechowe, jakby czarne, spodem barwy jasno-orzechowej, nogi mają wysokie i żółte. Pierwsze i drugie upędzają się za wszelką zwierzyną, w locie ją chwytając, stawniki zaś biją na siedzącą, zręcznie i niespodziewanie, szybko jak grom. Przed laty na stawie Kamienopolskim ułowiono żywcem takiego jastrzębia stawnika, który tak silnie wpoił pazury w grzbiet kaczki krzyżówki, już nieżywej, że ich wydobyć nie mógł. Do wielce szkodliwych zwierząt należy także bocian, którego z pewnym pietyzmem ochraniamy. Łowi on i pożera wszystko, co się złowić da lub co połknąć zdoła, ryby, owady, kaczęta dzikie i domowe, które chwyta walcząc zuchwale z matką rzucającą mu się w oczy, chruściele, kuropatwy, przepiórki, skowronki i inne pisklęta wylęgłe na ziemi. Oprócz ptactwa pożera też młode zające. Kto temu nie wierzy, niechaj zaglądnie do gniazd bocianich, dostrzeże tam oprócz żab, jaszczurek i wężów szczątki różnorodnej drobnej zwierzyny. O drapieżności czapel wspomniałem już wyżej. Żóraw należy do zwierząt wszystkożernych, żarłocznie żywi się grochem, w braku ziarna dziobie listki chwastów i ziół, jagód też nie pomija. Równie jak bocian i czapla zjada młode ptactwo, jaja, których szuka po polach i ostrowach. Ileż to jest prześladowców zwierzyny, która wobec takich napaści musiałaby wyginąć, gdyby nie pomnażała jej wielka płodność. Gdybyż przynajmniej człowiek ochraniał ją i ściśle przestrzegał Ustawę łowiecką! Niestety tak nie jest. Lud wiejski nie umie jej należycie cenić. Każdy chłop — to kłusownik, a czyni go takim ogół, który w każdej porze przyniesioną zwierzynę chętnie nabywa i nie pociąga przestępców prawa do odpowiedzialności. Pośrednikiem kłusownika zwykle bywa żyd, zawsze gotowy dla własnego zysku do wszelkiego

bezprawia. Takim kłusownikiem w całem tego słowa znaczeniu był Wasyl, tym groźniejszym dla zwierzyny, że strzelał doskonale. Jedną wszakże miał cnotę, nader rzadką u kłusowników z profesyi, że nie polował w niewłaściwej porze. Sam sobie w tej mierze ułożył kalendarz tak, iż w ciągu całego roku polował na inną zwierzynę, którą nosił do okolicznych miasteczek na sprzedaż, czasem nawet do Żółkwi o sześć mil oddalonej.

Na ostrowie długo na niego czekałem, wrócił z różnem ptactwem, kilkoma kaczorami, kulonem i mnóstwem bekasów. „Jak pan chce, to pokażę, jakto się łowi bekasy na sidła, trudno teraz, bo lato „przepadziste", ale na wielką posuchę, to dopiero raj! Gdy wszystkie mniejsze kałużki i jeziorka powysechają, wówczas na błotach huk bekasów, bo nie mają innych miejsc do żerowania, wtedy nastawiam sidła, a na drugi dzień około południa idę do nich, to jak się czasem szczęśliwie zdarzy, nawet kilkadziesiąt sztuk „zasidli" się w oczkach. A no! spróbujmy, może się uda". Wyniósł z szałaszu pęk sideł włosiennych jakby nanizanych na długim, mocnym, mazią powleczonym szpagacie, na lasce w kłąb zwiniętych. Ruszyliśmy obadwaj szukać dogodnych miejsc. Nie rychło znaleźliśmy je, bo z powodu częstych deszczów wody Sołokii wystąpiły szeroko na brzegi bagniste i zalewały czyste, roślinnością nie pokryte błota, na których bekasy, kulony, kuliki i dubelty najchętniej żerują, znajdując tam najwięcej różnego rodzaju robaków i drobnych ślimaków. Wreszcie znaleźliśmy takie czyste, czarne jak smoła błoto, zwane „czarniawką" lub „czarną rudką". Wasyl rozwinął kłąb sideł, i przytykał je t. j. przytwierdzał w różnych miejscach „kulkami", których ja cały snop związany sznurkiem za nim nosiłem. Rudka była dość obszerną, ale całą prawie obstawiliśmy sidłami, zostawiając małe odstępy jakoby ścieżki.

Krótki jeszcze tylko czas mając bawić w tych stronach, przedsięwziąłem sobie gorąco korzystać z czasu. Pora do polowania nie była odpowiednią, więc jedynie dla dogodzenia ciekawości tłukłem się jak Marek po piekle, a głównie pragnąłem poznać błota i ich mieszkańców, o których niech mi wolno będzie kilka słów wypowiedzieć w końcu tej rozprawy. Moczary owe uległy najzupełniejszej przemianie. Gdzie dawniej były niedostępne ostrowy, pielesze różnorodnego ptactwa, topiele i trzęsawiska, tam teraz, z wyjątkiem niektórych miejsc, wszędzie bezpiecznie dostąpić można. Moczary osuszono wycięciem głębokiego kanału w środku błot, czem uregulowano koryto rzeki Sołokii, podwyższono płaskie jej niegdyś brzegi tak, że wody nie wylewają się, jak dawniej, na kilko-milowej przestrzeni. Młody czytelnik z zdziwieniem zapewne przeczyta ten mój opis owych moczarów i będzie go uważał za wytwór bujnej fantazyi, starsi jednak mieszkańcy okolic Bełzkich poświadczą, iż opis ten jest może blady, ale wierny. Do wysuszenia błot przyczyniło się również wytrzebienie lasów. Wiadomo, jaką szkodę przynoszą obszerne przestrzenie niczem nie porośniętych piasków, a takie ciągną się w okolicy Uhnowa, Potylicza, Rawy i t. d. na obszarze kilkumilowym. Istna to Sahara mniejszych rozmiarów, lada wiatr wzdyma ów piasek, i niesie go daleko, jeśli lasy nie powstrzymają, na pola, łąki i błota, w których znaczne po latach kilkudziesięciu czyni zmiany. Z tego to powodu mieszkańcy takich piaszczystych okolic domagają się usilnie u Rządu pomocy w zagajaniu tych tyle szkodliwych nieużytków. Wycięcie lasów sprawia także, że gwałtownie na wiosnę od promieni słonecznych topniejące śniegi, i wody z nich zlewające się do rzek, wywołują tak częste u nas o tej porze powodzie. Wylewy takie niosą muł, żwir, glinę lub piasek na żyzne przedtem pola, które stają się nieużytecznemi. Jako przykład niech służą owe słynne z urodzajności pomorskie Żuławy, pokryte dziś kilkułokciową warstwą żwiru i piasku, jakie tam naniesione zostały przez wezbrane wody rzeczne.

Wróciwszy z wycieczki do domu zastałem dwa żywe żółwie, które tak gorąco mieć pragnąłem. Chłopcy pasący w nocy konie nad brzegami Sołokii, złowili je i przynieśli mi, nie chcąc przyjąć zapłaty. Była to para samiec i samica. Zajmowałem w oficynie jeden pokój, do którego przylegał ciemny alkierzyk, tam umieściłem żółwie, a przez malutkie okienko w drzwiach mogłem niespostrzeżony badać je. Alkierz nie miał podłogi, więc w środku wygrzebałem jamę, wstawiłem w nią duży szaflik z wodą, a w około obdarniowałem ziemię. Jako żywności użyłem wszelkiej ogrodowizny z dodatkiem rzerzuchy wodnej, rosnącej na błotnych odmiałach lub na moczarach. Za dnia były spokojne kryjąc się po kątach alkierza, każdy osobno, z nadejściem nocy zaś łaziły po izbie z lekkim szmerem, skrabiąc twardą jak kamień podłogę alkierza, i łapami opatrzonemi w ostre pazury trąc o twardą jak stal skorupę swoją, którą były na grzbiecie i podbrzuszu opancerzone. Niekiedy pluskały się w wodzie. Pierwszej nocy nie tknęły pożywienia, rano znalazłem je ukryte po kątach. W drugiej nocy już żerowały, skosztowawszy nieco naci rzodkwi, ale zjadły cały zapas rzerzuchy i trochę sałaty. Jak długo światło z mego pokoju wkradało się do alkierzyka, nie wychodziły z kątów, zgasiłem więc świecę, a po chwili usłyszałem szmer i plusk wody. Pragnąc je widzieć, szybko zapaliłem świecę i wpadłem do alkierza. Jeden z nich umyka szybko w kąt, drugi zanurzył się w wodę. Później rzucałem im ziemniaki gotowane i surowe, które pożerały, a z czasem nawet chleb jadły, ale nigdy mięsa ani rybek nie tknęły. Jednego przewróciłem na grzbiet, nazajutrz zastałem go w normalnej postawie. Zdziwiło mnie to, bo byłem pewnym, że żółw sam odwrócić się nie zdoła, więc chyba towarzysz udzielił mu pomocy. Przed nadejściem nocy poprzewracałem obadwa, a nazajutrz wcześnie rano zastaję je leżące na grzbietach z ukrytemi pod tarczą głowami i ogonami. Widocznie więc jeden drugiemu pomaga. Dla dokładniejszego zbadania rzeczy przewracam jeszcze samicę i wychodzę, aby przez okienko u drzwi widzieć ową pomoc. Czekałem z godzinę napróżno, wreszcie leżąca na grzbiecie żółwica wystawia głowę z szyją, nogi i ogon i poczyna niemi robić różne ewolucye. Widocznie usiłowała przewrócić się, ale napróżno. Po chwili wysunął się z kąta samiec, zbliżył się do niej, głowę swą podłożył pod jej grzbiet i posunął ją na kilka cali, potem znowu podważył i udało mu się przewrócić samicę. Tak się to stało na gładkiej podłodze, na wolności może się inaczej odbywa. Zapewne żółw przewrócony porusza się wysileniem członków i nieco posuwa, a natrafiwszy na przedmiot wystający chwyta się go pazurkami u nóg, lub też sunąc się w jakąś wklęsłość, przewraca się i staje na nogi. Rzecz ta błaha pozornie, ale ważna dla nauki godną jest dalszego badania. — Rozmnażanie się żółwi podobne jak u innych płazów, znoszą ikrę na miejscach suchych, piaszczystych lub torfiastych, nie zarosłych trawą lub ziołami, ani też zalewanych wodą, wystawionych na działanie promieni słonecznych, które ułatwiają wylęganie się z jaj lub ikry płodu. Gdy nadchodzi pora „ikrzenia się", a raczej znoszenia jaj, co trwa od pierwszych dni Kwietnia przez sześć tygodni, wychodzą żółwie samice na ląd, wygrzebują nie głębokie rowki w miękkim piasku lub sypkim torfie nadbrzeżnym, składają w nich jaja, z lekka je wyrzuconym piaskiem lub torfem przykrywając. Na-

stępnie promienie słoneczne dokonują reszty, w połowie Października wyłażą na powierzchnię ziemi miękkoskorupne, czarnej barwy, nie większe jak moneta cent, żyjątka, i przyrodzonym popędem wiedzione dążą ku wodzie, gdzie się zanurzają nie wychodząc na ląd, aż w przyszłej wiośnie. Stare żółwie, jak długo powierzchnia wody nie pokryje się lodem, wychodzą w nocy na ląd i żerują, w zimie zaś wchodzą do swych nor podbrzeżnych, i zasypiają snem zimowym trwającym aż do wczesnej wiosny t. j. do połowy Marca. Co tu o żółwiach nakreśliłem, zbadałem sam w r. 1851. Chęć badania obyczajów zwierząt zniewalała mnie też do ich oswajania. Idąc za przykładem J. C. Paska, który posiadał całą gromadkę oswojonych dzikich zwierząt, a głównie sławną ową wydrę „robaka“, oswajałem i ja. Miałem zająca na zawołanie: truś! truś! przybiegającego a raczej kicającego do ręki. Nauczyłem go też na podstawionym kapeluszu lub miednicy bębnić przednimi skokami, za co go przezwałem doboszem. Chowałem ugłaskane przepiórki, miałem jastrzębia „Kubusia“, który wszystkich kąsał i drapał ostrymi szponami, mnie samego oszczędzając. Przechowywał się lat kilka, nie latał wprawdzie, nadłamane mając skrzydło, ale też pieszo nie uciekał do lasu, jak to zwykle czynią chowane jastrzębie, co sam widziałem. Pewien ksiądz ob. łac. chował jastrzębia, uciął mu skrzydła i puścił na podwórze. Gdy kilka razy w roku podcinał skrzydła był pewnym, że nie ucieczе. Jastrząb chował się lat kilka i dosyć się oswoił. Pewnego razu w późnej jesieni odwidziłem księdza i zapytałem o jastrzębia. Domownicy zapewniali, iż widzieli go niedawno, szukają, sam ksiądz świszcze, czem go zwykle przywoływał, ale ani go znaleziono, ani sam nie przyszedł. Wtem zjawia się kościelny trzymając w ręku „Macia“ (tak się zwał oswojony jastrząb), i opowiada, że wracając drogą z sąsiedniej wsi, spotkał niedaleko lasu drogą pieszo idącego jastrzębia, podszedłszy bliżej poznał Macia. Podchodzi pragnąc ująć zbiega, lecz Macio rozwarłszy skrzydła macha niemi, i pędzi pieszo ku gąszczom lasu. Pobiegł za nim, dopędził, a gdy go już miał zchwycić, jastrząb przewróciwszy się na krzyże, skaleczył mu ręce szponami i dziobem.

Posiadałem wiele zwierząt oswojonych, ale jakoś nigdy wydry, mimo ofiarowanych 5 złr. m. k., kwoty na ówczas znacznej, jako nagrody za dostawienie młodej, żywej wydry, nikt mi jej nie przynosił, postanowiłem więc sam jej szukać. Napróżno plondrowaliśmy z Wasylem wszędzie, gdzie można się było pobytu wydr spodziewać, nawet na starym upuście grobli ich nie było. Wydry najchętniej przebywają i zakładają swe gniazda w skalistych brzegach rzek, lub grzebią nory po starych groblach albo upustach. W owem miejscu były takie nory, ale puste. Wasyl mówi: „Chyba są na Chaniach, koło dawnej pijawkarni“, więc poszliśmy tam. Zanim jednak opiszę ową dosyć ciekawą, a pełną przygód wyprawę na wydry, wspomnę o pijawkarni. Rzeka Sołokija i przyległe jej moczary ze swemi jeziorkami miały prawie europejską sławę z mnogości pijawek, używanych w medycynie. Toż nad brzegami tej rzeki dom kupiecki z Hamburga i Gdańska, o ile sobie przypominam, firmy Van der Mosten & Comp. trudniąc się hurtownym handlem pijawek, założył rodzaj magazynu tego żywego towaru na wybrzeżu rzecznem, do dóbr Domaszowa należącem. Wykopano dwa olbrzymie baseny, pomiędzy którymi na grobelce stał budynek dość obszerny, w którym mieszkał stary Niemiec z olbrzymim, zatabaczonym nosem wraz ze swą bardzo liczną familią i kilku pomocnikami, najętymi z Bruckenthal, sąsiedniej niemieckiej kolonii. Ów dozorca sam z pomocnikami łowił pijawki, lecz najwięcej skupował ich za bezcen u chłopów, mieszkających przy błotach. Baseny owe były wewnątrz wyłożone dębowymi dylami, kanalik wygrzebany od strony rzeki dostarczał nieustannie świeżej wody do obu basenów, z których znowu odchodziła woda podobnym kanałem. Baseny, w które wpuszczano złowione pijawki były szczelnie opatrzone, a mianowicie dno i boki, po nad które wystawał jeszcze parkan łączący się z deskami, któremi brzegi były wyłożone. Ostrożność ta była konieczną, boby pijawki pouciekały i rozlazły się. W tym też celu kanaliki zamknięte były gęstą siatką drucianą. Znaczniejsze transporta pijawek odchodziły czółnami na Sołokii aż do Krystynopola i do rzeki Bugu, gdzie w kadziach napełnionych wodą przechowywano pijawki w workach, po kilka tysięcy w każdym. Każdy worek wisiał pośród kadzi, uczepiony na sznurze w poprzek górnych krawędzi kadzi umieszczonym. Transport cały pod opieką dozorcy, który w pewnych ustępach czasu zmieniał wodę w kadziach, ładowano na galary, płynące do Gdańska ze zbożem, balami lub klepkami. Handel a raczej export tego towaru upadł zupełnie, nowoczesna medycyna, a w części także chirurgia wyrugowała pijawki z rzędu środków leczniczych. Gdym idąc za radą Wasyla postanowił szukać tam wydr, już z owej pijawkarni ledwo ślady pozostały, budynek mieszkalny rozebrano, pozosłały tylko owe dwa baseny w postaci dwóch trzciną i tatarakiem zarosłych kałuż, których brzegi były wysokie utworzone wyrzucaniem ziemi przy kopaniu basenów,

(Ciąg dalszy nastąpi).

KILKA SŁÓW O OBECNYM STANIE MYŚLIWSTWA W GALICYI

PRZEZ

Karola Hostońskiego.

Patrząc na położenie naszego kraju, na rozległe niwy, rzeki, łąki, moczary, wreszcie lasy, w znacznej już części wytrzebione, mimowoli nasuwa się myśl, z jakiej przyczyny stan zwierzyny u nas jest o tyle niższym, niż np. w Austryi, w Czechach, w Morawii, na Szlązku? Przyczyna ta jest jawna, cena dziczyzny podnosi się, i stanie się wkrótce dla niższych warstw ludności niemal niedostępną. Wiadomo, że dziczyzna jako pożywienie jest dla zdrowia ludzkiego, szczególnie dla chorych nader pożądaną. W Austryi i Czechach kosztuje zając bez skórki 20 do 30 cnt., u nas 1 złr. do 1 złr. 50 ct. Aby temu złemu zaradzić, trzeba pracy, poświęcenia i wytrwałości, nie wątpię wszakże, że nie zabraknie nam tych przymiotów, i że w niedługim czasie doprowadzimy stan zwierzyny naszej do pomyślnych, a nawet świetnych rezultatów. Nie łatwe to jest zadanie, winniśmy zatem przedewszystkiem zdać sobie sprawę, co właściwie jest powodem upadku naszego łowiectwa

i zniżenia się zwierzostanu. Nim przystąpię do szerszego rozwinięcia tego przedmiotu, wykażę różnicę między prawdziwym myśliwym *(Waidmann)*, a zwykłym strzelcem *(Jaeger)*. Strzelców mamy niestety za wielu, prawdziwych myśliwych zbyt mało. Czyż nasi strażnicy lasowi są myśliwymi? Nader ich mało! Czyż każdy celnie strzelający, posiadający dobre psy i broń wyborną jest myśliwym? To przeważnie są strzelcy, którym tylko idzie o bogatą w liczbę zdobycz, nie troszczą się oni wcale o umiejętne pomnożenie zwierzyny miejscowej. Takich strzelców, do których zaliczam osobliwie wojskowych, urzędników, dzierżawców i właścicieli mniejszych posiadłości i t. p., nazywają w Niemczech pieczeniarzami *(Brateljaeger)*, lub ścierwiarzami *(Aasjaeger)*. W toku mojej rozprawy dam dokładny ich wizerunek, i przytoczę smutne przykłady, które się głównie przyczyniły do zniżenia naszego zwierzostanu. Wydzierżawianie polowań na gruntach gminnych ma stanowić pewny dochód gminy. W jak opłakanym stanie są owe polowania, aż nadto wiadomo. Niżej przytoczymy wypadki i nadużycia, stwierdzające dosadnie to nasze orzeczenie. Ustawy dotyczące dzierżawy polowań, są bardzo odpowiednie, któż jednak czuwa nad ścisłem ich wykonywaniem — zaprawdę nikt, i ci właśnie, którzy winni chronić dochód gminny, przyczyniają się do przestępstw wobec prawa i pobłażliwie patrzą na rażące nadużycia.

Rozpatrzmy się zresztą szczegółowo, co jest właściwie przyczyną ubytku zwierzyny naszej, jakimi środkami można mu tamę położyć i stan łowiectwa podnieść. Główną podstawą wytępienia zwierzyny miejscowej i przeciągającej, są: 1) wytrzebienie lasów; 2) nawalne śniegi i ostre mrozy; 3) brak żeru; 4) zwierz drapieżny; 5) psy i koty samopas po polach i lasach uganiające; 6) kłusownictwo; 7) handel zwierzyną przez nieuprawnionych; 8) nieprawne posiadanie broni po wsiach i sprzedaż amunicyi strzeleckiej; 9) dopuszczający się nadużyć dzierżawcy polowań gminnych; 10) niedbali o podniesienie stanu łowiectwa w kraju właściciele większych i mniejszych posiadłości; 11) niepojmująca swych obowiązków straż lasowa; 12) wadliwy nadzór Władz politycznych i gminnych.

Zniszczenie lasów. Nie widzę potrzeby szczegółowo rozpisywać się, o ile ono przyczyniło się do pomniejszenia zwierzostanu, każdy myśliwy to uzna. Wcale nie twierdzę, iż dla utrzymania zwierzyny nie należy wyciągać z lasu odpowiedniej korzyści, pragnę tylko praktycznemi uwagami dowieść, że niszczenie lisów staje się nader zgubnem zwłaszcza dla naszego kraju, który zamknięty od południa Karpatami wycinaniem lasów otwiera się dla rossyjskiej północy, gdzie trzebienie lasów bezwzględnie się wykonuje. Galicya niezbyt dawno jeszcze bogatą była w lasy, jeziora, rzeki, moczary i łąki. Dziś ledwie resztki ich pozostały. Dla mniemanej korzyści swej naruszył człowiek zuchwałą ręką odwieczny porządek przyrody. Nie stało się to bezkarnie, z każdym rokiem bardziej czujemy złe skutki. Nieraz robiłem wyrzuty nierozważnym posiadaczom lasów, najczęściej odbierałem odpowiedź: „Muszę las wyciąć, by się z długów otrząsnąć, las wykorczuję, uzyskam rolę“. Ostatecznie cóż się dzieje! Właściciel traci las, a żyd, który opłacił z góry drzewo i korczunek, wyciąga wszelkie korzyści i zwraca właścicielowi wyssaną i zużytą ziemię, nie wydającą już żadnych ziemiopłodów, chyba po nader kosztownej uprawie. Wzięty za drzewo i korczunek grosz idzie w części na spłacenie długów, ale w znaczniejszej części na przejażdżki, na zagraniczne kąpiele, ekwipaże, stroje i bankiety. W pierwszym roku już ów grosz znikł z kalety, bieda znowu, więc ucieczka do żyda, daje on hojnie i chętnie do pewnego czasu, aż w końcu staje się właścicielem posiadłości. Dziś jeszcze często tak się dzieje — smutna prawda!

Pustoszenie lasów przynosi nam wiele złego, mianowicie doroczne niemal powodzie, brak elektryczności w powietrzu, ztąd rozmaite grasujące u nas choroby epidemiczne, posuchy lub długotrwałe deszcze, ostre zimy bez śniegu, nieustanne wiatry północne, mnóstwo owadów niszczących ziemiopłody, i inne dolegliwości.

Wiadomo, że mech przeważnie ściele się w cieniu lasów, mech ten nader jest pożytecznym, on bowiem powstrzymuje gwałtowny i nagły odpływ wody po nawalnych deszczach lub szybkich roztopach śniegu na wiosnę. Wraz z lasami znika i on. Ścisłe badania nauczają nas, że jedna stopa kwadratowa mchu, ważąca zaledwie $1\frac{1}{4}$ funta, wsiąka w siebie 41 procent wody, zatem rozścielona dwóch linii grubości przestrzeń mchu w rozległości dwóch mil kwadratowych, wsiąka w siebie ośm milionów stóp kubicznych wody. W lasach wzgórzystych rozścielony jest mech w grubszej warstwie, często jednostopowej, pod nim znajduje się zwykle próchnica, która wiele wody przyjmuje, i raptowny odpływ jej wstrzymuje. Mech i owa próchnica, to zarodki naszych źródeł. Gdzie wyniszczono lasy, znikł mech i źródła powysechały. Ztąd wynika, że ulewne deszcze i nagłe roztopy nie wstrzymywane i nie wsiąkane, całą swoją massą walą się dolinami ku rzekom, które nie mogąc jej pomieścić w swych łożyskach, rozlewają ją szeroko i daleko, niszczą powodzią nasze mienie, i pozostawiają nam po sobie namuł i rozpacz! Dawniej nie tak częste bywały powodzie, jak teraz; w skutek wyniszczenia lasów zdarzają się one prawie co roku. Wieśniak dawniej mówił: „Kurzą się lasy, będzie burza i nawalnica“, a Niemcy od dawna przebywający w naszym kraju, gniewnie rzucali przekleństwo: *„Das polnische Donnerwetter soll dreinschlagen“*. Dziś obie przypowieści znikły, lasy się nie kurzą, bo ich nie ma, a „das polnische Donnerwetter“ już także nie straszne — a powodem tego tępienie lasów. Kurzenie się, czyli wyziewanie lasów dawało wiele elektryczności, wychodzącej z drzew i roślinności lasów i udzielającej się powietrzu, owa mgła, rozkładająca się nad górskimi szczytami lasów, zawiera w każdej wodnej kropelce pewną ilość elektryczności, niezliczone te wodniste atomy skupiały się tworząc obłoki, chmury, nasycone elektrycznością, która w postaci iskry, wstrząsając gwałtownie powietrzem, do ziemi, z której wyszła, powraca. Do ubytku elektryczności w powietrzu przez wyniszczenie lasów przyczyniły się również koleje żelazne i siecie drutów telegraficznych. Zaledwie nam ziemia nieco elektryczności udzieliła, już szyny żelazne i druty telegraficzne ściągają ją nazad do ziemi, niedopuszczając rozszerzenia się jej w powietrzu i oczyszczenia jego. Gdzie nie ma elektryczności, tam nie ma zdrowia, bo powietrze zanieczyszczone i nie poruszone wytwarza w sobie bakterye, które zatruwają naszą krew i stają się przyczyną częstych u nas chorób nagminnych. Oto moje praktyczne uwagi, może mylne, niech je uczeni sprostują. Gdzie brak roślinności, tam też brak wilgoci. Drzewa, krzewy i wszelkie rośliny wyziewają i spożywają wilgoć i utrzymują równowagę jej w powietrzu. Z wyniszczeniem rozległych lasów zmniejszają się rosy i regularne deszcze. Od kilku lat dostrzegamy u nas częste posuchy lub nieustanne deszcze, sprowadzane przez wiatry zachodnio-północne. Deszcze zwykle zimne, posucha piekąca. Zresztą nie chcę szerzej o tem mówić, rzecz ta nadto każdemu znajoma. — Gdzie nie ma lasów, tam nie ma ciepła w powietrzu. Każdy myśliwy niezawodnie sam doświadczył, iż wstąpiwszy śród srogiej zimy w las uczuł przyjemne ciepło, śród skwaru

letniego miły chłód. Każde drzewo zagłębia korzenie swoje tak daleko, aby je od dojmujących wpływów zimna i skwaru ochronić. Ziemia zawierająca w wnętrzu swem znaczną ilość ciepła, ogrzewa przez korzenie część powierzchni drzewa, i udziela część tego cieplika powietrzu. Rzeczą więc jest naturalną, że trzebienie lasów znacznie się przyczynia do ochłodzenia powietrza, a nawet ziemi. W zimie wyziewa ziemia pewien stopień ciepła, w lecie chłód, naturalny to porządek rzeczy, co stwierdzamy w życiu potocznem na naszych piwnicach i wodach źródłowych, w lecie one chłodne, w zimie ciepłe w stosunku do atmosferycznego powietrza. Jak w lecie w skutek niszczenia lasów ubywa rosy i deszczów regularnych, tak w zimie śniegu, który nasze oziminy i inne rośliny od wpływu ostrych mrozów i wiatrów chroni. — W miarę wycinania lasów narażeni jesteśmy coraz bardziej na wiatry wschodnio-północne i północne, silne i częste. Nie twierdzę, iżby lasy tamowały przebieg wytwarzania się wiatrów, ani też uważam wytępienie lasów jako powód powstawania wiatrów, to jednak pewne, iż dawniej chroniły nas lasy od północnego wschodu i północy, dziś wiatry nie znajdują prawie żadnej zapory, toż szaleją wściekle jakby po stepie.

Rozległe knieje naszych borów dawały odpowiednie schronienie zwierzętom ssącym i ptactwu różnego rodzaju, dziś lasy wyrąbane, zwierz z nich wypłoszony. Gdzie jeszcze las się rozlega, ciągły niepokój, czy to z powodu wycinania drzewa i wywozu jego lub bezmyślnego uganiania za zwierzyną, która ciągle dręczona opuszcza knieje, lub w popłochu staje się pastwą drapieżników. Dawniej sarna, zając, cietrzew, jarząbek, mogły się łatwiej przed szponami ich ochronić, dziś czego strzelec w przerzedzonych lasach za pomocą nagonki i innych środków nie wystrzela, to staje się łupem lisa i jastrzębia. Gdzie się podziały roje spiewającego ptactwa? Nasze lasy teraz ciche. Dawniej myśliwy dążąc ze świtem do kniei, lub wieczorem czatując na drapieżnego zwierza, z uniesieniem, z rozkoszą słuchał spiewu różnorodnego ptactwa, dziś ono prawie znikło, a za to pozostały owady szkodliwe w niezliczonych miliardach, niszczące resztę lasów i nasze ziemiopłody. Takto bezmyślnem tępieniem lasów naraziliśmy się samochcąc na rozliczne, srogie klęski, byt materyalny coraz gorszy, a myśliwy narzeka na ubytek zwierzyny, niemało przyczyniającej się do odżywienia ludności i dostarczenia mu w części dochodu.

Nawalne śniegi i ostre mrozy. Wiadomo każdemu myśliwemu, że wielkie śniegi wraz z silnym mrozem są zgubne dla zwierzyny, szczególnie dla sarn. Miałem sam nieraz sposobność sprawdzić znaczną liczbę sarn pożartych przez wilki. Małemi racicami w dalekim skoku przebija ona zlodowaciałą powierzchnię śniegu, gdy przeciwnie wilk i lis lub inne zwierzę drapieżne lekko po wierzchu przebiega. Sarna kaleczy się na ostrym śniegu, siły jej wnet się wyczerpują. Nawalne śniegi i mrozy utrudniają odszukanie pożądanego żeru. Sarna, zając i kuropatwa zbliżają się wtedy ku ludzkim siedzibom lub do stert siana i słomy, kuropatwa głodem pędzona wlatuje na dziedziniec, zając wsuwa się do sadu. Biada mu, wolałby w śnieg się wkopać, aby w nim jaką trawką się posilić. Ileż te zwierzęta mają prześladowców! Dostają się w szpony zwierząt drapieżnych, pod strzał, w sidełka lub sieci kłusownika. Ponowa im częstsza i nawalniejsza, tem pożądańsza dla kłusownika, za tropem idąc dosięgnie on każdego zająca. Nie czyni tego z zamiłowania do myśliwstwa, lecz dla zarobku, a kto miał sposobność przekonać się, jak wytrwale chłop nasz idzie za tropem zająca, sarny, a nawet dzika, bez wytchnienia przez cały dzień brodząc po pas w śniegu, ten musi zaprawdę podziwiać jego siły fizyczne i wytrwałość.

Brak żeru. Tu tylko zaznaczyć chcemy, że zając i sarna w lesie, kuropatwa w polu, nie znajdując często w zimie i z początkiem wiosny żeru, nędznieją, stają się łatwym łupem drapieżców, lub też wskutek brakiem pożywienia wywołanych chorób giną.

Zwierz drapieżny. Wspomniałem już wyżej, że wilk wiele zwierzyny tępi, nie mniej też lis, ów przebiegły i chytry zbrodniarz. Szkoda wyrządzana przez niego nie do obliczenia. Zaprawdę dziwne, iż dziś jeszcze znajdują się myśliwi, którym to wielką radość sprawia, gdy na urządzonem polowaniu padnie 4 zajęcy a 8 lisów. Lis jest niezawodnie największym szkodnikiem. Lis żywi się w zimie myszami, więc go błogosławi rolnik, lecz czem żywi się on od wiosny do zimy? Jedynie zwierzyną. Gdy pola i łąki pokryją się na wiosnę zbożem i trawą, nie trudzi się lis łowieniem myszy, co zresztą wówczas nie łatwe, bo mysz wtedy dobrze ochroniona, ugania się on za młodemi sarnami, zającami, wyszukuje gniazda kuropatw, jarząbka, słonki, przepiórki i t. d., a potrzebuje on żeru wiele nie tylko dla siebie, lecz także dla swych dzieci. Żadna drobniejsza zwierzyna nie uchroni się od jego napaści, a używa on najrozmaitszych łowienia sposobów. Można przypuścić, je jeden lis wytępi w roku najmniej 20—30 zajęcy i kopę różnego ptactwa. Gdy wartość najpiękniejszej skórki lisiej wynosi najwyżej 5 złr., to szkoda jaką lis uczyni, wyniesie pewnie 50 złr. Ileż to narzekań, gorżkich wyrzutów robionych straży leśnej, gdy na polowaniu zwłaszcza w obec zaproszonych dostojnych gości padnie ledwie kilka zajęcy, lecz któryż z narzekających zbada przyczynę ubytku zwierzyny, któryż wierzy, że nie leśniczy, lecz lis-drapieżnik tępi ją bez miary. Następnie bocian, ów zwiastun wiosny, ów orędownik szczęścia rodzinnego według przekonania ludu, przynosi niezliczone szkody rolnikowi i myśliwemu, może więcej jak jastrząb lub inny ptak drapieżny. Chroniony i oswojony przez ludzi, wybiera on wszędzie pastwę swobodnie. Prawda, iż żywi się przeważnie żabami, wężami, jaszczurkami i innymi płazami, lecz tem właśnie wyrządza wielką szkodę rolnikowi. Rozważmy, że z każdym rokiem coraz więcej mamy wysuszonych stawów, moczarów i innych wód, na których rozmnażały się miliony żab, jaszczurek wodnych i innych płazów, żywiących się jedynie najróżnorodniejszymi owadami. Wiadomo, że np. mucha mięśnik *(Schmeisfliege)* w jednym roku wydaje z siebie 500.000 potomstwa, o wiele liczniej pomnażają się inne owady. Gdy przeto wskutek osuszenia stawów i moczarów żaby, jaszczurki i t. p. znacznie ubywają, a nadto tępi je bocian, to natomiast w przerażającej liczbie mnożą się szkodliwe dla naszych ziemiopłodów owady. Nie małą też czyni bocian szkodę niszczeniem pszczoły. Gdy hreczka zakwitnie, nie ma prawie bociana na łąkach i moczarach, wówczas pilnie on czatuje po łanach hreczanych na pszczołę. Uważałem raz, że bocian stojąc na strzesze niskiej chłopskiej stodody nieustannie dziób otwiera i zamyka, podsunąłem się tak blisko, że zaledwie na sążeń byłem od niego oddalony. W ogródku przy stodole stało kilka ulów, z których pszczoły rojem wylatywały. Przemyślny bocian stał nieruchomy, jedynie dziób swój ciągle otwierał i zamykał, połykając pszczoły. Przypatrując się dokładnie dostrzegłem, że bocian chwytał je nie dzióbem, lecz silnem wciąganiem powietrza. Stałem przeszło godzinę i patrząc na zegarek przekonałem się, że w przeciągu pięciu minut połknął 90 do 100 pszczół. Szkodliwszym jest jeszcze bocian dla myśliwego. Niesie on

młode zające, kuropatwy, chruściele, przepiórki, skowronki do swego gniazda. Plondrując przez cały dzień po łąkach i rolach żywi się jajami rozmaitego ptactwa, osobliwie czajek i innych błotnych ptaków. Ileż to innych drapieżników tępi zwierzynę, do tych przyłączają się:

Psy i koty samopas włóczące się po lasach i polach. Równą szkodę, jak lis, wyrządzają koty domowe i psy. Kot raz zasmakowawszy w łowiectwie na polu i po krzakach, znajdując tam młode zające, kuropatwy i ptactwo, gnieżdżące się na ziemi, nie szuka już pewnie myszy, od krzaka do krzaka pełza przezornie, rzucając się na gniazda ptasie lub zajęcze. Kot taki zwykle dziczeje zupełnie i nie wraca do ludzkiego mieszkania. Widujemy na gruntach i pastwiskach gminnych samopas włóczące się psy. Każdy prawie pastuch lub w polu pracujący wieśniak ma przy sobie psa. Psy takie swobodnie buszują w zbożach i krzakach i często łowią młode a nawet stare zające, niszczą całe gniazda kuropatw lub innego ptactwa pożerając jaja. Nieraz zastanawiałem się nad tem, w jaki też sposób pastuchy umieją wyszukać gniazda nawet w najgęściejszych krzakach, otóż przekonałem się, że zawsze prawie pies jest im w tem pomocnym. Pastuch zachęca go naprzód do szukania, gdy ten buszuje po zbożu, uważa, zkąd wzleci kuropatwa lub przepiórka, biegnie szybko w to miejsce i znajduje gniazdo. Niszczy je dla swej korzyści, a najczęściej dla prostej swawoli, nie wiedząc, ile tem szkody czyni. Możnaż się dziwić ciemnemu ludowi, gdy nawet ludzie oświeceńsi, stróże nawet uprawnieni łowiectwa dopuszczają się podobnych nadużyć!

Kłusownictwo. Któż właściwie jest kłusownikiem? Czy jedynie ów, który nieuprawniony do polowania skrycie wybija i wyławia w różnoraki sposób zwierzynę? Czy przeważnie chłop nasz tylko? Zaiste nie! Są nimi nawet posiadacze własnych obszarów łowieckich, są nimi ludzie pewnej klasy należącej do inteligencyi, dopuszczającej się bezkarnie takiego przestępstwa. Nadto rzecz wiadoma, jak kłusownictwo, grasujące między naszym ludem, przerażającą czyni szkodę w zwierzostanie, jak ono wpływa na demoralizacyę tegoż ludu. Chłop oddający się z zawodu kłusownictwu, podobnym jest do zwierzęcia drapieżnego, owszem przewyższa go, posiadając bowiem broń palną i różne przybory, o wiele większą liczbę zwierzyny tępi. Od dziecka żyjąc śród przyrody, w polu czy w lesie, poznaje dokładnie tryb życia każdego zwierzęcia, jego legowisko w różnych porach roku, jego obyczaje i zwyczaje, z każdym dniem rozwija się w nim popęd myśliwski, kłusowniczy, aż wreszcie staje się to zajęcie niemal celem jego życia, źródłem jego zarobkowania. Podnosi on to rzemiosło swoje do pewnego kunsztu, który usuwając się z pod oka najbaczniejszej straży, nieobliczone przynosi szkody. Nieraz podziwiałem wyrafinowaną przebiegłość, przezorność, wytrwałość i podstępną zapobiegliwość kłusowników, nie od rzeczy będzie przytoczyć tu kilka przykładów. Palna broń kłusownika jest zwykle krótka, dobrze już wystrzelana pojedynka, tak zwana w języku ludowym „kozia łaba". Skoro świt wychodzi ów kłusownik ze wsi z strzelbiną pod sukmaną lub kożuchem. Bystry jego wzrok dostrzeże zająca czy to na czarnej roli, czy w ścierni lub w krzakach, upatrzonego obchodzi w koło oglądając się, ażali go kto nie widzi, gdy się o tem upewni, strzela z odległości kilku kroków, poczem szybko z zdobyczą uchodzi, kryjąc starannie broń i łup. Często używają tacy kłusownicy małych piesków, wybornie ułożonych, które zająca ze zboża wypędzają, kłusownik postępuje w takim razie wolnym krokiem, pies tropi blisko przed nim i wypędza zwierzynę na 15 do 30 kroków. W zimie na ponowie każdy zając staje się jego zdobyczą. Wytrwałość, przytomność, zimna krew, wreszcie praktyka długoletnia, są to przymioty kłusownika. Jak w polu na zające, tak też poluje w kniei na sarny i inną zwierzynę, a wiadomo, jak trudno w lesie spotkać się z takim kłusownikiem. Strzelby nie przechowuje on w domu, lecz w lesie w dziupłach, w domu zaś chyba w skrzyni z podwójnem dnem, wydrążonym belku, słupie. W zimie na śniegu łatwo śledzić kłusownika, przebiegłość jego i na to wynalazła sposoby. Omija on ile możności, linie w lesie, trzyma się gąszczów. Wystrzał może go zdradzić, straż lasowa bieży na strzał, znajduje ślad zabitego zwierza, pędzi za śladem nie wiedząc o tem, że kłusownik tymczasem w przeciwnej stronie kryje swą zdobycz, a sam umyka. W takim razie obuty on jest w chodaki lub berlacze filcowe przylegające szczelnie do nogi, ma jednak buty z podeszwą na odwrót zrobioną, które po ubiciu zwierzyny wdziewa, i ślad swój nimi myli. Ponieważ zawsze strzela z bliska, nigdy prawie nie chybia, zwierz pada na miejscu, może przeto rychło go zabrać, a noc ułatwia mu wyniesienie. Z nadzwyczajnym sprytem umie się ukrywać. Znane mi wypadki szybkiego obskoczenia kłusownika a jednak go nie zchwycono. Gdy jest prześladowanym, umyka w miejsca mu znane, z których sam niewidzialny może wszystko w koło siebie dostrzedz. Siedzi np. powyżej szyi w wodzie z wystającą, szuwarem zakrytą głową, w niebezpieczeństwie zanurza ją w wodę, i wychyla zwolna, gdy ono minęło. Pewnego razu widzieliśmy kłusownika chroniącego się w wysoką trzcinę, trzech poszło za nim, ale go nie znaleziono, sam tedy wszedłem w wodę z wybornym legawcem, wtedy już nie pomógł podstęp, pies go zwietrzył i obchodził nieustannie. Kłusownik widząc niebezpieczeństwo zanurzył się, toż samo uczynił pies, wreszcie zabrakło mu oddechu, pojawił się na powierzchni i został pochwycony, wpuściwszy przedtem strzelbę w wodę.

(Dokończenie nastąpi).

KULE SZKLANE METALOWE BOGARDOSA i PTASZKI METALOWE ROEDLA

OPISAŁ

Ludwik Weeber.

Wobec ogromnych postępów, jakie przemysł rękodzielniczy w ostatniem dziesięcioleciu szczególnie w rusznikarstwie poczynił, poczuwamy się do miłego obowiązku obznajomienia czytelników naszych z nowymi wynalazkami broni palnej, jakoteż innych powinowatych jej wyrobów z dziedziny sportu myśliwskiego. Czynimy to w celu kształcenia dobrego gustu i szlachetnego zamiłowania, niemniej jednak dla przestrogi wobec pokuszeń, idących z dzisiejszego labiryntu różnorodnych pomysłów, jakie nam dzień każdy prawie przynosi.

Dzisiejszym przedmiotem będzie zaczerpnięty z pism obcych opis dwóch nowych przyrządów, mających na celu zabawę towarzyską i ćwiczenie myśliwskie, to jest strzelanie do

podrzucanych kul szklanych i do ptaszków metalowych, które u miłośników broni palnej coraz więcej nabiera wziętości i uznania, jakkolwiek nie zostały te przyrządy jeszcze należycie ocenione. Kule szklane noszą nazwę od kapitana Bogardosa, wynalazcy ich, i można się spodziewać, że zastąpią one wkrótce używane dotąd gołębie przy strzelaniu Towarzystw angielskich o zakłady, jakoteż przy ćwiczeniu w strzelaniu w lot, tyle ponętnem dla każdego myśliwego. Pora też aby owe sztuczne i nader zmyślne lotne pociski położyły już raz koniec bezmyślnej strzelaninie do jaskółek i t. p. Strzelanie takie jest nietylko wybornem ćwiczeniem dla początkujących adeptów sztuki myśliwskiej w celu wydoskonalenia się na dobrego strzelca szczególnie do lotnej zwierzyny, ale daje nadto bardzo miłą rozrywkę większym Towarzystwom, a rutynowanym nawet myśliwym tyle dostarcza urozmaiconej i poruszającej przyjemności, iż użytem być może i powinno jako *intermezzo* przy większych zebraniach myśliwskich, bo służy wybornie do rozbudzenia wesołości, żartów, dowcipów, a zarazem do rozstrzygnienia wątpliwości o dobroci broni i zręczności myśliwych. W zagranicznych Towarzystwach strzeleckich, szczególnie rozmiłowanych w tym rodzaju sportu, strzelających o wkładki lub o zakłady, rozpowszechnia się coraz bardziej przekonanie, że to ćwiczenie nierównie praktyczniejszem jest, jak strzelanie do gołębi wypuszczonych z klatki, przyczem głównie rzecz polega na mniej lub więcej pomyślnym wypadku, gdy w pierwszem tylko na zręczności strzelca. Nadmienić też należy, że sprzeciwia się stanowczo strzelaniu do gołębi, jaskółek i t. p. już samo uczucie humanitarne, a wreszcie Ustawa ochrony zwierząt. Rodzaj ten sportu daje również doskonałą sposobność wypróbowania broni i włożenia się do niej, a wyćwiczony w nim myśliwy będzie umiał się składać, wytrzymywać w strzale, dawać odpowiedni nabój i t. d., a przy zastosowaniu przyjętych prawideł oszczędzi sobie niezawodnie wiele trudów, zawodów i mozolnych doświadczeń.

Strzelanie do kul szklanych wymaga przedewszystkiem nasypu ziemnego lub parkanu z grubych brusów około 10 stóp długiego i odpowiednio wysokiego w celu ochrony umieszczonego za nimi pomocnika. Dwie maszyny sprężynowe do kul szklanych przytwierdza się do brusa 6 — 8 stóp długiego, a rozmaity kierunek rzutu reguluje się podkładanymi w miarę potrzeby klockami lub kamieniami pod przednią część maszyny. Dla początkujących strzelców wskazany będzie podkład większy i ustawienie dosyć wysokie u przodu, aby pozyskać rzuty jak najbardziej w górę idące, dla wprawniejszych strzelców odpowiedniejszem będzie ustawienie niższe, iżby rzuty kul szły mniej poziomym łukiem, i naśladowały lot porywającego się ptactwa. Pomocnikowi zostawia się swoboda dowolnego, bez porozumienia się ze strzelcem, poruszania maszyny w odmiennym kierunku, iżby kule wylatywały to w prawo, to w lewo, lub prosto w górę. Przed wałem albo parkanem staje strzelec na 20—25 kroków, jeżeli ma strzelbę z kalibrem 12, a o 5 kroków bliżej z kalibrem 16. Poza strzelcem znajduje się stół lub budka do rozłożenia broni, nabojów i dla towarzyszów. Strzelec występujący z kolei na oznaczoną metę, komenderuje: „tuj“ (dawna komenda polska: „przygotuj“, ostrzegająca pomocnika o gotowości do strzału), przy następnej komendzie: „cel“, wylatuje kula po pociągnięciu sznurka od zastawki, przytrzymującej sprężynę. Do dubletu powtarza się ta sama komenda, a dla wprawnych tylko strzelców puszcza pomocnik kulę bez komendy, po małym przestanku. Strzelec obowiązany po każdym strzale składać się, spuszczając broń przynajmniej o piersi. Do trudniejszych dubletów należy puszczenie obu kul naraz w różnych kierunkach, przyczem odpada rygor odkładania strzelby od twarzy i powtórnego składania się. Strzelec zajmujący stanowisko powinien trzymać broń w pogotowiu, przed komendą „cel“ musi być kolba poniżej łokcia. Nabój lub kapsla u broni perkusyjnej zakłada się u mety. Jakiekolwiek zapomnienie np. nieodwiedzenie kurków i t. p. liczy się jako strzał stracony, jeżeli jednak strzelba niewypali z powodu od strzelca niezawisłego, wtedy dozwolony jest strzał drugi. Należy ściśle przestrzegać, aby stojący u mety strzelec nie doznawał jakiej przeszkody od towarzyszów. Wybór śrótu zostawia się dowolnemu upodobaniu. Waga kul Bogardosa wynosi około 60 gramów, objętość 65 cm. w przecięciu, a materyałem ich jest szkło butelkowe kolorowe, najczęściej zielone lub rudawe, czasem niebieskie. Każda kula mieści w sobie kilka jakichkolwiek piórek, które rozlatując się po rozbiciu kuli, pięknie markują trafne strzały. Kula dobra spadając na ziemię nie powinna się rozbić, trafiona zaś choćby jednem ziarnkiem śrótu ma pękać. Ustaloną reputacyę mają kule z hut szklanych Dra A. Granka w Charlottenburgu, i tych używa słynny w tym rodzaju sportu amerykanin Dr. F. Carver. Do rzucania kul służy maszyna (fig. a) z bardzo prostym mechanizmem, który wykona według modelu każdy kowal wiejski. Do kawałka brusa dębowego przytwierdza się silną sprężynę podłużną, odpowiednio wygiętą, a zakończoną jakoby chochlą, w którą wkłada się kulę. Sprężynę naciska się ręką i przytrzymuje karbem zastawki, która przy pociągnięciu sznurka spuszcza sprężynę, i kulę w dowolnym łuku wyrzuca.

Nowym w tym rodzaju wynalazkiem przysłużyła się znana firma rusznikarska H. Roedla w Pradze. Są to tak zwane ptaszki metalowe, wyrobione z podłużnych kawałków grubej blachy, odpowiednio wyciętej. Dołączamy ich kształt wraz z przyrządem pociskowym do rzutu.

Fig. a.

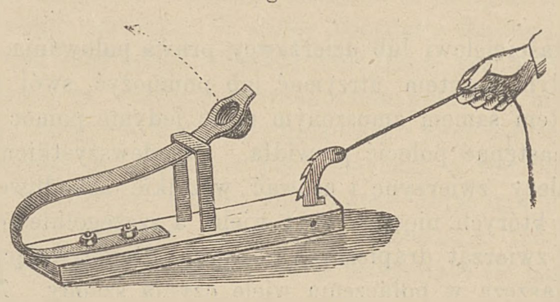


Fig. 2.

Fig. 1.



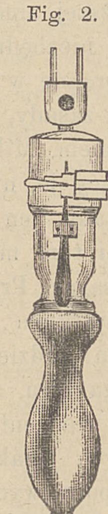


Fig. 3.



Blaszka (fig. 1) wprawiona przyrządem (fig. 2) w szybki ruch wirowy, wznosi się jak ptak w powietrze do 25 metrów wysokości w łuku dowolnym, w kierunku bardziej pionowym lub ukośnym, a trafiona spada natychmiast pionowo na ziemię,

chybiona zaś wraca do miejsca, z którego wyrzuconą została czyli do pomocnika, poza wałem lub parkanem stojącego. Tym ruchem wstecznym przypominają te blaszki *buma rang* wojowniczych amerykańskich plemion dzikich, których naśladownictwo znane jest u nas jako zabawka dla dzieci, a nawet dla starszych. Do wyrzucania blaszek (fig. 1) służy przyrząd (fig. 2). Wszystko razem, blaszki wraz z przyrządem i sztyftem do wciągania sprężyny (fig. 3) pomieścić można w małej torebce ręcznej, i z tego powodu wygodniejszy jest ów mechanizm, jak maszyny Bogardosa. Przyrząd sam wraz z rączką ma 35 cm. długości. W mosiężnej puszce, osadzonej na rączce, umieszczona jest sprężyna, skręcona spiralnie i kółko zębate do jej przytrzymania. Na zewnątrz u przeciwnego końca rączki wystaje oś metalowa, a do niej przytwierdzona u szczytu główka z wystającymi dwoma czopkami, służącymi do nakładania blaszek, zaopatrzonych w dwie odpowiednie dziurki. Na puszce blaszanej umieszczony jest jeszcze na boku hebel i zastawka sprężyny o ząbek wewnętrznego kółka, a do nakręcania czyli napięcia sprężyny służy sztyft, zaopatrzony w rączkę (fig. 3). Sztyft ten wtyka się w otwór główki i kręci aż do odpowiedniego naprężenia sprężyny, przytrzymując równocześnie hebel, a tem samem zastawkę, przyciśnieniem wielkiego palca. Po usunięciu palca wpada zastawka pomiędzy ząbki wewnętrznego kółka i zatrzymuje sprężynę, poczem nakłada się jedną lub dwie blaszki, pociska hebel powtórnie, a w skutek jednoczesnego, wstecznego szarpnięcia ręką wylatuje blaszka w powietrze. Blaszka wprawiona tym sposobem w ruch wirowy, śrubuje się skrzydełkami swemi w powietrze zgodnie z prawem fizyki o płaszczyźnie ukośnej, wychwyt jej z czopków główki sprawia małe szarpnięcie przyrządu wstecz, wznosi się więc, jak powiedziano wyżej, do 25 m. w górę i powraca nazad w kształtnym łuku do miejsca wyrzutu. Niewielkiej wprawy wymaga ta rzecz, głównie idzie o nadawanie blaszkom dowolnego kierunku więcej pionowego lub ukośnego, a zależy to od trzymania przyrządu w chwili szarpnięcia, więcej lub mniej horyzontalnego czyli poziomego. Blaszki nakłada się skrzydełkami do góry, ale podczas wiatru lepiej nakładać je odwrotnie. Do dubletów nakłada się od razu dwie blaszki, z których każda w odmiennym kierunku wzlatuje. W celu ponownego napięcia sprężyny, naciska się palcem hebel, który przytrzymuje zastawkę, ażeby ta zastawka, wczesnie niezahaczona o zębate kółko, nie wstrzymała pełnej siły rzutu. Cena całego przyrządu wraz z setką blaszek wynosi 15 marek czyli 9 złr. w. a. Przyrząd jakoteż jego zmyślne pociski nie są patentowane, więc polecamy ją jako jedyną lotną zwierzynę w niezbyt dalekiej może przyszłości bacznej uwadze naszych czytelników.

Ogólne prawidła utrzymania i pomnażania zwierzostanu

PRZEZ

Bar. Ferdynanda Nolde.

Właścicielowi lub dzierżawcy prawa polowania, pragnącym małym kosztem utrzymać lub pomnożyć swój zwierzostan, a tem samem zmuszonym nieść jedynie pomoc naturze, można następne polecić prawidła. Przedewszystkiem ochraniać należy zwierzynę i usuwać wszelkie szkodliwe na nią wpływy, których niestety zbyt wiele, a szczególnie pochodzących od zwierząt drapieżnych i ostrych, długotrwających zim, a te zwłaszcza w połączeniu wiele czynią szkody. Żywienie zwierzyny odejmuje najsroższej zimie znacznie siły szkodliwego działania, a przytem niezbędnem jest staranne tępienie drapieżników. Ponieważ pragnę w tym względzie treściwie podać najgłówniejsze tylko zasady, przeto zajmę się jedynie średniem i niższem polowaniem. Miłośnicy łowów, posiadający małe rewiry lub dzierżawiący je, nie mogą się oddawać ustaleniu wysokiego zwierzostanu, ten bowiem stale przebywa tylko w wielkich kniejach i tam może być utrzymany. Rozpoczynamy więc rzecz od sarny. Pragnąc je utrzymać i rozmnożyć, trzeba przedewszystkiem pozbyć się ile możności pana Mekity, pełna bowiem nadziei młodzież tego przebiegłego rabusia wiele wymaga żeru, a nie jedno sarniątko już w pierwszych chwilach po urodzeniu stanowi wytworny kąsek dla owych młodocianych smakoszów tem bardziej, że pomiot sarny styka się z porą wychowania młodych lisów. Psy wiejskie i koty zdziczałe czynią też niezmierne szkody w rewirach, nie mogą być przeto w nich cierpiane zwłaszcza od 1go Maja do końca Września, nie tylko bowiem łowią zwierzynę, ale nadto niepokoją ją nieustannie, co jeszcze bardziej jest zgubnem. Siuty nie należałoby właściwie w żadnej porze zabijać chyba, że już przez dwa lata się nie kociła i stała się jałową. W strzelaniu do kóz niezbędną jest zatem ostrożność, dla tego czynić to powinien tylko doświadczony i dokładnie rewiry znający myśliwy. Częstokroć uważaną jest koza jako jałowa, a właściwie nią nie jest, bo straciła sysaka swego schwytanego przez lisa lub innego drapieżnika, a w przyszłym roku może się stać matką rodziny. Co do wystrzeliwania kozłów, polecam tylko szóstaki, tym sposobem nie zabraknie nigdy kozłów łownych, i ochroni się młodsze pokolenie, a młode kozły zapładniają równie dobrze, a często nawet lepiej, jak stare. W twardych zimach trzeba sarny w ostojach żywić szczególnie gdy na śniegu utworzyła się lodowa powłoka, bo w takim razie przy dalszem upędzaniu się za żerem ranią sobie dotkliwie racice, a rany te często nawet śmierć sprowadzają. Podrzuca się zwykle nie wielką ilość siana, ale to bywa bardziej stratowane jak spożyte. Najlepiej kłaść małą wiązkę siana na wbity w ziemię kół, najwięcej cztery stopy wysoki. Najmocniej też polecam lizawki, których używają nie tylko sarny, ale też jelenie, wielce one służą zdrowiu i wabią bardzo ku sobie t. j. przyciągają zwierzynę zwłaszcza gdy w sąsiednich rewirach lizawek niema. Lubo sposób zakładania lizawek znany jest powszechnie myśliwym, to jednak w kilku słowach o nim wspomnę. Obiera się w pobliżu ostoi miejsce, ile możności najsuchsze, wyrównuje się przestrzeń około 4 do 5 stóp, kładzie na niej ramę dębową z każdej strony 4 do 5 stóp długą i grubą, z przecięciem czterocalowem, ramę obkłada się zarzuconą ziemią, wyjmuje ze środka ramy ziemię na 5 do 6 cali głębokości, wypełnia

tę próżnię gliną i to przekładając warstwę calową gliny ćwierćcalową warstwą soli kilkakrotnie, aż się głębia wypełni. W środku podnosi się nieco owe warstwy gliny i soli tworząc tym sposobem mały pagóreczek i wyrównuje go deszczułką. Naturalnie w glinie nie powinno być piasku lub kamyków i wkładaną musi być do środka ramy po zwilżeniu jej. Lizawkę taką co roku trzeba odnawiać. Glina nasiąka wnet solą, ściąga się do niej zwierzyna, liże ją chciwie, a nawet dzikie gołębie odwidzają chętnie lizawki i bywają przy nich ubijane. Na miękkiej glinie wyciskają się tropy zwierzyny i można z nich łatwo rozpoznać, jaka zwierzyna w rewirze przebywa. Raz ściągnięta do lizawek zwierzyna przychodzi codziennie prawie do nich, i wybiera sobie w pobliżu ich ostoję. Nie radzę strzelać do sarn przy lizawkach, bo to je płoszy. Nie mogę przemilczyć, że w pewnej porze wrzos jest dla sarn niezbędnym, nie powinien więc być tępionym. Również wierżbinę i żarnowiec miotłowy lubią sarny bardzo, utrzymywać je przeto lub zasadzać nawet należy dla pomnożenia sarn. Jak w lecie przenosi sarna małe liściaste rewiry nad sosnowe i inne szpilkowe, tak w zimie sciąga się w te ostatnie. W tem leży wielka trudność utrzymania znacznego stanu sarn, kto bowiem najstaranniej w zimie ściągał je do swoich rewirów szpilkowych, traci wielką ich część w lecie, gdyż wychodzą one do małych gajów sąsiedzkich, gdzie łatwe z niemi spotkanie, gdzie też jako przybysze wcale nie bywają szanowane.

Zające trzeba także podczas srogiej zimy żywić sianem lub koniczyną, którą się zakłada na palach wbitych w ziemię w takiej wysokości, aby z łatwością dosięgnięte być mogły. Przypomnieć tu należy, iż przy polowaniu na kuropatwy lub buszowaniu w polu z wyżłem oszczędzać wypada zające, pojawiają się bowiem przeważnie samice, które twardziej przed psem wytrzymują i chętniej w lecie na polach, przesiadują, jak gachy. Ściganie zajęcy chartami niszczy je, zając bowiem szczuty a nie schwytany ginie zwykle z wysilenia, a zresztą kilka razy w jednem miejscu ścigany wynosi się i szuka spokojniejszego schronienia. Gipsowanie koniczyska i posypywanie wapnem jest dla zajęcy nader szkodliwe, truje je po prostu, rolnik jednak z tego powodu nie zaniecha pożytecznego gipsowania lub wapnienia tak jak też nie przestanie siać koniczu dla tego, że koniczyska przynoszą wielką szkodę kuropatwom a szczególnie ich gniazdom. Trzody owiec niepokoją też zająca i zmuszają do wynoszenia się, i w tym względzie nie ma na to rady, boć przecie owce paść się muszą, niech więc przynajmniej psy owczarskie zawsze będą uwiązane.

Co do lotnej zwierzyny pierwszą jest zasadą szanować samice lęgowe i ile możności je nie ubijać. Szczególnie ważnym jest ów wzgląd u cietrzewi, zresztą nie trudno u nich tego przestrzegać, stare bowiem kury lęgowe wyraźnie są naznaczone a przy podrywaniu się gdaczą. Stara cieciurka powraca co roku najakuratniej do dawnego lęgowiska i zwykle z każdym rokiem pomnaża się liczba jej potomstwa, naturalnie do pewnego kresu, bo rzadko przekracza liczbę 12, lubo dosyć często ową liczbę znachodziłem, ale zawsze tylko przy starych kurach. Jeżeli się młodzieży nie wybija przed jej dojrzałością, to można w części także ochraniać młode kury, które łatwo odróżnić od naznaczonych czarną barwą kogutków. Szanowanie młodych kur tem bardziej jest godne polecenia, że w dziwny sposób przyroda tej zwierzynie większą dała liczbę samców jak samiczek. Jako przykład niech służy, że pewnego razu we dwóch zabiliśmy 18 sztuk młodzieży, z których 14 było kogutów, a tylko cztery kurki, lubo wcale nie przebieraliśmy, ale bili wszystko prócz starych kur. Takich przykładów mógłbym wiele z mego doświadczenia myśliwskiego przytoczyć.

U kuropatw jest już szanowanie kur trudniejsze, nie są bowiem tak wyraźnie naznaczone zwłaszcza, gdy młodzież już znacznie podrosła, mimo to jednak ochronę kur lęgowych najmocniej polecić należy. Starzy myśliwi każą przy stadkach wybijać stare koguty, gdyż one mają być iniciatorami wynoszenia się tychże, ja nie bardzo podzielam to zdanie lubo nie głosuję za ochroną starych kogutów zwłaszcza, gdy młode kurki już są dobrze zabezpieczone i nie potrzebują ojcowskiej opieki jak w pierwszej porze młodości. Szkodliwem jest wybijanie zawczesne starych kogutów w stadkach, chronią one bowiem swoją zawsze wytężoną uwagą i czujną strażą niedoświadczoną młodzież od wszelkich niebezpieczeństw, mianowicie od napaści rabusiów o wiele lepiej, jak stare kury. Przewaga kogutów u kuropatw jest zawsze znaczną, jak w ogóle u wszystkich ptaków z rodu kur, a przewaga ta jest głównie w porze zapłodnienia często nader zgubną, gdy bowiem większa liczba rywalów upędza się za jedną kurą i niepokoi ją, wydarza się, iż nie bywa ona zapłodnioną i staje się jałową. Aby temu zaradzić, dobrze jest wybijać na wiosnę nadliczbowe koguty, ale wybijania tego dokonywać powinni tylko bardzo rozważni i doświadczeni myśliwi, gdy takich nie ma, lepiej wybijania zaniechać. Bardzo korzystne i polecenia godne jest podkładanie jaj kuropatwich razem z bażanciemi pod jendyczki, takie bowiem wylęgłe kuropatwy chowają się wybornie przy bażantach, przylatują najregularniej w następnej zimie do bażantarni, a na wiosnę zakładają gniazda w pobliżu jej. Przy takiem postępowaniu można zawsze nawet po bardzo srogich zimach zwłaszcza w okolicach północnych, gdzie wszystkie kuropatwy giną, mieć w pobliżu bażantarni stadka kuropatw z których cała okolica się niemi zaludnia. W mojej ojczyźnie, Kurlandyi, osiągnąłem, tak postępując, bardzo korzystne rezultaty, mogę przeto oparty na własnem doświadczeniu polecić je myśliwym.

Przy koszeniu koniczyny giną często kury lęgowe, wtedy można szybko jaja podłożyć pod jendyczki, a tym sposobem ocala się potomstwo nieszczęsnej matki dając mu macochę. W bażantarni wyławia się starannie jastrzębie, tchórze, łasice i wszelkich drapieżników, więc trzymające się bażantarni stadka kuropatw są więcej zabezpieczone, jak w czystych polach. Szczególnie pożądane są dla kuropatw tak zwane polne remizy. Zakładanie ich jest bardzo proste i małego wymagające kosztu, a wypłaca się sowicie. Wybiera się w polu przestrzeń najmniej pod rolę lub na łąkę przydatną, obszaru jednego lub dwóch morgów, otacza ją zwykłym płotem małym, zasadza jedlinką *(pinus picea)* ile możności najgęściej, a podrastające drzewka podstrzyga się tak, by wyżej — jak 4 do 5 stóp się nie podnosiły, i coraz bardziej gęstniały. Brzegi owej jedliny zasadza się cierniem w szerokości kilku stóp i podstrzyga się go również. Dobrze jest też wmięszać gdzieniegdzie między jedlinę cierń, jakoteż rozkrzewiać w środku remizy jeżyny. Jeżeli nie ma w tem miejscu piasku i żwiru, to trzeba w remizie kilka kupek tychże nagromadzić, piasek i żwir bowiem są dla kur niezbędne. Owoż gotowa remiza. Podrzucać trzeba w zimie żer dla kuropatw jak najbliżej remiz by w razie dostrzeżenia jastrzębia, mogły corychlej do nich się schronić. Niektóre parki stale swe gniazda założą w remizach, i ochronione wychowają swobodnie młode, inne pary rozsypią się w najbliższej okolicy. Więcej widzę ko-

rzyści w przezimowaniu kuropatw na wolności, jak w zamknięciu, a udaje się to tylko przez zakładanie remiz i staranne żywienie w zimie. W izbach przezimowane kury lęgowe stają się nadto oblane a przez to w pierwszym roku niepłodne, a przytem i wypuszczanie nie bardzo dogodne. Gdy się wypuści w zimie przezimowane kury za wcześnie na wiosnę, to często nieprzewidziane zimno gubi rozdelikacone istotki, a jeśli się to uczyni za późno, to wiele z nich jałowieje. Sidła nastawiane w pobliżu remiz na jastrzębie lepszą robią usługę, jak najgorliwsze stawianie budek przy puhaczach, w sidłach bowiem łowi się najgroźniejszy wróg kuropatw, jastrząb gołębiarz *(falco palumbarius)* bardzo łatwo, przeciwnie zaś rzadko tylko w budce do niego się strzela, a więcej do mniej groźnych jastrzębi i kań.

Jak u kuropatw szanowanie kur lęgowych jest pożądane, tak również potrzebne szanowanie kaczek lęgowych, one bowiem także wracają chętnie do wybranego miejsca lęgu, a ochrona ich przy wystrzeliwaniu młodzieży kaczej dobrze się zawsze wypłaca.

Kto pragnie mieć stale w lesie swoim słonki, niech w kilku rewirach wcale do nich na wiosnę nie strzela, wracają one bowiem także zawsze do takich spokojnych miejsc, jeżeli w czasie swej dalekiej podróży, gdzieindziej nie zginą.

Dla posiadaczy tokowisk głuszców sądzę, iż następne przepisy mogą być pożyteczne. Szanowanie kur o każdej porze jest konieczne w okolicy, gdzie głuszce tokują. Liczbę kogutów postanowioną wystrzeliwa się ile możności wcześnie na wiosnę z początkiem tokowania, wtedy bowiem zabija się zawsze najstarsze samce, które najrychlej tokować poczynają i więcej szkody jak korzyści przynoszą, gdyż wypędzają one z tokowiska młode koguty. Ostatnie z rozpoczęciem tokowania milczą jeszcze, usiłują wszakże wybrać sobie dogodne miejsce do właściwej pory tokowania, co jednak utrudniają im stare koguty. Pierwsza chwila tokowania jest właściwie nieustannem miotaniem się starych kogutów i ciągłem prześladowaniem młodych, a o zapładnianiu kur w tej chwili nie ma mowy, toż nie pojawiają się one jeszcze na tokowisku. Widzieć je tam można zwykle dopiero w 10 lub w 14 dni po rozpoczęciu tokowania. Jeśli się wystrzela starych zapaśnikow, to upływa pora zapładniania znacznie spokojniej i dla potomstwa korzystniej i mniej bywa kur niezapłodnionych, a więc jałowych. Gdy się już kury na tokowisku pojawiają, to już wtedy w rewirach spokój zachować należy, więc już nie strzelać do starych kogutów, a już jeżeli ktoś koniecznie to czynić zechce, to chyba z największą przezornością na ostatecznych skrajach tokowiska, lepiej wszakże wcale zaniechać strzelania, w tej bowiem porze bije się pewnie tylko młode koguty, gdyż stare wprawdzie pierwsze tokują, ale też wcześnie grać przestają. Postępując w taki sposób zapewni się bytność tokowisk w rewirach niemal na wieczne czasy i zawsze ono będzie silnie zajęte. W takich rewirach mogą być wskazane drzewa zwolna wycięte, ale dorazowy, zbyt głośny wyrąb nader jest szkodliwy dla tokowisk głuszcowych, jak również wszelka znaczna zmiana w nich np. wycięcie gościńca, kopanie rowów, to bowiem bywa powodem, że pewne od wieków tokowiska do razu zupełnie są opuszczone. Chęć zwięzłego treszczenia rzeczy omal nie usunęła mi z pamięci konieczność zwrócenia uwagi posiadaczów tokowisk głuszcowych na pewien mały fortel bardzo polecenia godny, lubo pozornie mało znaczący. Najczęściej znajdują się tokowiska, przynajmniej w mojej ojczyźnie, na gruncie mniej więcej bagnistym, wyjątkowo zaś tylko na piasczystych wyżynach Na nisko i wilgotno położonych tokowiskach nie ma najczęściej piasku i żwiru, których głuszce bardzo łakną, mianowicie piasku do kąpieli, żwiru do ułatwienia trawienia. Koguty żywiące się na wiosnę i w zimie głównie szpilkami sosnowemi, połykają mnóstwo zawsze kamyków, które znajdują w żwirze. Pragnąc pewne tokowisko uczynić dla głuszców tem dogodniejszem i potrzebniejszem, rozsypuje się na tokowisku w różnych miejscach małe kupki piasku i żwiru, aby tym sposobem sztucznie dostarczyć głuszcom brakującego w miejscu błotnistem pożywienia. Wkrótce przekonać się będzie można, jak owe dobrodziejstwo wdzięcznie było przyjęte, spostrzeże się bowiem na owych nasypywanych kupkach codziennie świeże ślady używanych kąpieli. Według podań wielu starych myśliwych posiada takie rozsypywanie kupek piasku i żwiru taką moc przyciągającą, że nawet w mniej dogodnem zresztą miejscu można tym sposobem nowe tokowisko utworzyć zwłaszcza, gdy w całej okolicy nie ma piasku i żwiru. Ażali w istocie takie tworzenie nowych tokowisk jest możliwe, nie mogę zapewnić, sam bowiem nie miałem nigdy sposobności doświadczyć tego, przeciwnie rozsypywanie kupek piasku i żwiru w istniejących już tokowiskach mogę na pewne, jako rzecz przezemnie stwierdzoną polecić. Że takie rozsypywanie a zwłaszcza dowożenie piasku i żwiru nie ma się dziać już podczas tokowania, nie potrzebuję udowadniać, to bowiem niepokoiłoby tylko i wypłaszało zwierzynę. Dowozić trzeba w zimie, a kupki często poruszać, aby trawą nie zarastały. Poruszanie to odbywać się może, gdy koniecznie potrzeba podczas tokowania bez złych następstw, ale trzeba to czynić w południe, gdy koguty i kury uleciały, jak to się zwykle dzieje w sąsiednią okolicę. Smakosz zapragnie pożywić się młodymi głuszcami, stare bowiem nie bardzo są smaczne. Więcej więc na pastwę dla podniebienia jak dla zaspokojenia namiętności myśliwskiej, można młodzież głuszcową strzelać przed wyżłem w Lipcu, również później około jesieni na drzewach osikowych, które młode kury obsiadują i pączkami się żywią. Prawdziwy jednak myśliwy, więcej znajdujący rozkoszy na tokowisku jak przy uczcie zastawionej przysmakami, nie strzela młodzieży głuszcowej przed wyżłem, ani też na osikach, bo to łatwo gubi zupełnie tokowiska. Tak jak inny zwierzostan tak również tokowisko głuszców wymaga starannej ochrony od kłusownictwa i drapieżników. Podczas całej pory tokowania stać pilnie należy na straży szczególnie wieczorami i rankami, bo często kilka godzin wystarczy do zupełnego wygubienia grających kogutów.

Nie chcę dłużej rozwodzić się o ochronie i utrzymaniu zwierzostanów, gdyż tyle już mamy przewodników dla myśliwstwa, w których wszystko pożądane dokładnie jest wskazane, a ja chciałem raczej podać niektóre spostrzeżenia z własnej praktyki łowieckiej dla korzyści myśliwych.

Jeszcze raz w końcu polecam w celu utrzymania zwierzyny, szczególnie tyle rozkoszy sprawiającej, zwierzyny lotnej następne przepisy. Kto posiada miejscowość chętnie nawiedzaną przez kury lęgowe i obraną przez nie do wychowywania w lecie młodzieży, niech nie wybija starych kur ze stadek, w takim razie może być pewnym, że one co roku tam powrócą i dostarczą myśliwemu świeżej młodzieży, z każdym rokiem coraz liczniejszej, jeżeli gdzieindziej z innego powodu nie wyginą. Toż samo polecić można u kaczek, matki bowiem oszczędzane wracają również do obranego lęgowiska. Co do słonki dokładnie dostrzegłem, że ona na wiosnę ochroniona i nie strzelana, pozostaje na swojem miejscu przelotu i tamże się gnieździ, przeciwnie zaś strzałami niepokojona uchodzi

i gdzieindziej się gnieździ. Strzały na ciągu wiosennym nié tylko wytępiają nie mało matek, ale nadto wypłaszają chybione. Mimo ubytku w ogólności słonek od czasu wynalezienia broni perkusyjnej, miałem jednak sposobność dostrzegania pomnażania się tej pięknej zwierzyny tam, gdzie zaniechałem strzelania do niej na ciągu wiosennym. Zapewne wzmógłby się był ów przybytek znaczniej, gdyby wszędzie tej wstrzemięźliwości przestrzegano, to niestety się nie stało i z tego powodu nie jednej zabrakło mi słonki lęgowej przezemnie przezornie ochranianej. Każdy miłośnik łowów i ogrodów może się sam przekonać o prawdziwości i skuteczności przywiedzionych przezemnie przepisów, jeżeli zechce w tej mierze czynić spostrzeżenia. Każdy bocian, każda jaskółka, każdy szpak, nawet słowik wraca zawsze i corocznie do raz wybranego lęgowiska, a takiż instynkt pędzi cietrzewie, słonki, kaczki i tym podobną zwierzynę do corocznego powrotu do raz obranego lęgowiska, a nawet staje się powodem, iż potomstwo ich chętnie idzie za przykładem rodziców. Miejsce urodzenia i szczęśliwej a swobodnej młodości ma wielką siłę attrakcyjną nie tylko u człowieka ale też i u zwierząt, czego mi przecież nikt nie zaprzeczy.

KORESPONDENCYE.

Lwów, 10 Kwietnia.

Zarybianie rzek naszych podjęte przez galicyjskie Towarzystwo rybackie w Krakowie podniesie nasze gospodarstwo rybne, dotąd najzupełniej w stanie dzikim pozostające. Czyn ten godzien jest uznania i poparcia ze strony całej ludności krajowej, która niestety dotąd nie zrozumiała znaczenia i pożyteczności tego czynu, nie dostrzegła w tem własnego interesu. Do ogólnej czci, jakiej doznaje Towarzystwo rybackie i jego szanowny iniciator i kierownik Dr. M. Nowicki, dołączam i ja moje skromne: Szczęść Boże! Dr. Nowicki, znakomita już dzisiaj powaga w dziedzinie przyrodnictwa, znany i wielce ceniony nie tylko w kraju, ale też poza granicami jego, raczy przebaczyć, że ja jedynie praktyk ośmielam się wnieść kilka uwag w sprawie zarybiania rzek.

Jak wiadomo, dążą ryby podczas tarła instynktem wiedzione z miejsc głębszych ku płytkim, ku mieliznom, ławom piaszczystym, odmiałom, w rzekach górskich ku tak zwanym *ryniom.* Czynią one to nie z błahych przyczyn. Miejsca przez nie do składania ikry wybrane, są zawsze bezwarunkowo słoneczne, aby promienie ogrzewały ikrę i tem wpływały na przekształcenie jej w żyjątka, pierwotnie będące *automatami, embrionami*, zawartymi w każdym zosobna pęcherzyku, których całość nosi zbiorową nazwę ikry. Takie ogrzewanie jest niezbędnem, z tego to powodu składają ryby ikrę w miejscach płytkich, gdzie promienie słoneczne przenikając do głębi niewielką warstwę wody, dając ikrze dostateczną miarę ciepła, przyczyniają się do ożywienia embrionów. Ikra złożona w miejscach ocienionych i głębiznach, lub zaniesiona w nie, ginie bezpożytecznie. O prawdziwości mego twierdzenia mogą się przekonać właściciele rybnych sadzawek. Dziwi ich nieraz, iż pomimo oszczędności w łowieniu ryb, mimo starannego przestrzegania, iżby ikry nie wyławiały gęsi i kaczki domowe, nie pożerały jej raki lub ryby drapieżne jak szczupak, mimo niedopuszczania nawet żab do sadzawek, liczba ryb co roku widocznie się zmniejsza. Jakaż właściwie tego przyczyna? Nie inna, tylko ta, że stan ryb przyrostem młodego pokolenia czyli zarybkiem się nie pomnaża, i nie uzupełnia corocznego ubytku. Ryby zmuszone trzeć się w sadzawkach zbyt ograniczonych rozmiarów, zniewolone są składać ikrę w miejscach głębokich, o utworzeniu sztucznych mielizn nie pamiętano, a zresztą dla upiększenia sadzawki otoczono ją w koło cienistemi drzewami, a zwierciadło wody pokryte na kilka cali warstwą tak zwanej *rzęsy.* Czyliż może ikra ożywić się w tak niekorzystnych warunkach? Gęste rozgałęzienie ogromnych drzew nie dopuszcza promieni słonecznych, a jeśli one gdzieniegdzie się przekradną, to są zbyt słabe, by zdołały przeniknąć grubą warstwę rzęsy. Lubo ikra szczególnie niektórych gatunków ryb jak: karasi, linów, płoci i t. d. cechuje się silną żywotnością, to jednak tylko do pewnego kresu. Jak silną jest taka żywotność, miałem sposobność nieraz naocznie się o tem przekonać. Któż niezna z opisu sławnego C y r k n i c k i e g o jeziora, ja miałem to szczęście widzieć je i podziwiać. Nosi ono nazwę od miasta Cyrknicy, leżącego w górach Karynckich, w oddaleniu około czterech mil od Tryestu. W r. 1859, w połowie Września zwidzając sławną grotę Adelsbergską (po Karyncku Postojna), zapragnąłem widzieć owo słynne jezioro. Ruszyłem ku niemu, i znalazłem zamiast jeziora dosyć rozległą dolinę, w której środku sterczało kilka ostro zakończonych, od wieków zwietrzałych skał. Ujrzawszy ową dolinę, a raczej jej pola orne z sterczącą ściernią różnych zbóż jarych, a między niemi z czerwoną ściernią hreczaną, a nawiasem dodam, iż grykę w całej monarchii austryackiej tylko w Galicyi, Karyntyi i Krainie uprawiają, sądziłem, iż mój przewodnik zbłądził lub wiedzie mnie tą doliną ku jeziorowi, atoli przewodnik ów zapewnił mnie, że dolina ta jest łożyskiem jeziora, i że ona w jednym roku skałami swemi chłonie w siebie wody jeziora tak, iż na suchym jej gruncie można uprawiać zboża, w następnym zaś roku z pod tych samych skał tyle wytryska wody, iż w przeciągu tygodnia tworzy się głębia kilkunastu stóp nad powierzchnią. Wtedy tam mnóstwo ryb — ale drobnych. Zkąd się one biorą? — pomyślałem. Zapewne skały owe pokrywać muszą jakiś kanał, łączący się z jakiemś jeziorem podziemnem, które w razie nawału wód wytryskuje, tworzy owo Cyrknickie jezioro i wprowadza w nie ryby. Nie moją rzeczą badać i objaśnić owo zjawisko przyrody, wolno mi wszakże postawić przypuszczenie, że ikra pozostała po ustąpieniu wody na powierzchni łożyska, nawet w skutek przeorania jego nie straciła swej żywotności, i że po rozlaniu się wód fale wydobyły ją na powierzchnie dna, a promienie słoneczne ożywiły ją i dostarczyły jeziorowi narybku. Wniosek ten opieram na wypadku, którego byłem naocznym świadkiem, a który wydarzył się przed laty w pobliżu Lwowa. We wsi Podborcach, odległych o milę niespełna od Lwowa, znajduje się w czystem polu, przy drodze wiodącej do Mikłaszowa i Biłki, jezioro, a pola, na których się ono rozlewa, są rozległem płaskowzgórzem. Starzy ludzie pamiętają go od lat bardzo wielu.

Przypływu źródeł do tego jeziora nie ma, ani też odpływu wód jego, albowiem, jak nadmieniłem, łożysko jego jest płaskowzgórzem, więc stan jego wód zawisł jedynie od ilości śniegów lub mokrego czy też posusznego lata. Jezioro to nazwano *Buśkiem* jako zbiorowisko dla niezliczonej liczby odlatujących na zimę bocianów, po rusku buśków. W owych latach jezioro to wyschło zupełnie tak, że nawet olbrzymie sitowia i rogoże wyginęły do szczętu, więc nie mieli chłopi, pracujący w polu, zkąd zaczerpnąć wody dla siebie i roboczego bydła. W drugim roku po posusze zalały wody śniegowe i deszczowe na nowo łożysko jeziora. Pewnego dnia w jesieni przychodzi do mnie chłop i mówi z miną tajemniczą: „Proszę Pana, cud się stał na Buśku!“ — „Jaki?“ — pytam — „Bociany naniosły ryb, i są, dalibóg są.“ — „Może kto zarybił“, odparłem. — „Taże hde?“ — odpowiada chłop. Kazałem zaprządz, wziąłem włoczek z sobą, i jadę. W istocie udało mi się złapać do pięciu garncy ryb przeważnie karasi, i trochę płoci i kiełbików. Cud się wyjaśnił: ikra zamulona iłem nie wyginęła podczas trzechletniej suszy. Stawiam to twierdzenie jedynie w celu zwrócenia uwagi bardziej odemnie kompetentnych badaczów. Nieznam sposobów, jakie bywają używane przy zarybianiu rzek naszych ikrą, wyczytawszy jednak sprawozdanie z zarybiania rzeki Strwiąża, ośmielam się zapytać, ażali rzeki w ogóle, rwące i po lada deszczu wzbierające mogą być zarybiane ikrą? Płyną one wartko a po wezbraniu do tego stopnia gwałtownie, że woda unosi z sobą spore kamienie i żwir rzeczny. Cóż wtedy dzieje się z ikrą wpuszczoną w wodę? Jak każdej górskiej rzeki, fale Strwiąża są nader bystre, cóż się stanie z ikrą wpuszczoną do niego? Przy pierwszem wezbraniu jego wód poniosą ją bystre prądy do Dniestru, gdzie w najlepszym razie większa połowa jej, zamulona grubą warstwą żwiru, piasku lub mułu przepadnie. Górskie rzeki w ogóle są mało rybne z powodu, iż grunt ich skalisty nie wiele dostarcza żeru. Gwałtowne wzbierania ich wód nie dozwalają ustalić się rybie na miejscu, toż mniej jej w miarę bystrości fali. Przekonałem się nieraz naocznie, iż po odpływie wezbranych wód często tygodnie mijały, nim ryby się pojawiły uniesione i wracające w górę, zawsze płynąc pod prąd. Przypuśćmy nawet, że większych lub mniejszych rozmiarów ryby oprą się rwącemu prądowi wezbranych wód, ale ikra się pewnie nie oprze, jako automat jest ona bierną. Ryby rade dążą do rzek górskich w porze tarła, bo skalisty ich grunt ułatwia im wypuszczanie z siebie ikry, z której się wypróżniają ocierając się o głazy skaliste lub o żwir chropawy. Z tego, com powyżej wyrzekł, wynika, że sztucznym sposobem zarybione rzeki górskie nie stają się wcale miejscem rodzinnem nowego pokolenia, albowiem pierwsze wezbranie wód unosi ikrę w dalekie strony, spokojniejsze, gdzie pozostawszy na ławach piaskowych, odmiałach i t. p. miejscach wyczekują ożywczych promieni słonecznych. Z tych powodów sądzę, iż zarybianie rzek górskich ikrą nie prowadzi do zamierzonego celu. Pragnąc osiągnąć pomyślny zarybiania skutek, należałoby urządzać sadzawki rozpłodowe, i z nich zupełnie już wykształcone żyjątka czyli zarybek wpuszczać do rzek górskich, lub też wpuszczać ikrę tylko w wody spokojnie płynących rzek, do których wpadają rzeki górskie. W takim razie wpuszczona ikra swobodnie się rozwinie w wielką liczbę żyjątek, które wzmogłszy się w siły popłyną ku wszystkim stronom, zapędzając się nawet w wyżyny rzek górskich.

Gawin.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Skibiński Wiktor.
Trzecieski Czesław.

W akademii rolniczo-leśnej w Wiedniu otrzymał p. Kazimierz Acht dyplom inżyniera. Jestto pierwszy Polak zaszczycony tam tym stopniem akademickim.

Lwów, Lipiec 1882.

Niemal wszystkie młode psy przebywają chorobę ciężką i niebezpieczną, na którą albo giną, albo tracą wiatr, lub co najgorsze, w dalszych skutkach dostają wścieklizny. Symptomata owej morderczej choroby są: opuchnięcie gardła, ropienie oczu, gorączka, brak chęci do jadła, zapadnięcie boków, posępność, wzrok błędny, toczenie piany, silne pociąganie nosem, czasami nawet kołowacizna.

Mój ulubiony wyżeł popadł w ostatnich czasach w ową chorobę. Będąc o jej groźności przeświadczonym odniosłem się zaraz o pomoc do weterynarzy. Wszystkie podawane środki były bezskuteczne; choroba czem raz wzmagała się i kiedy już nosiłem się z myślą rozstania się z moim faworytem, nastręczono mi pigułki p. Hostońskiego, jako wypróbowany środek w takich razach. Nabyłem więc polecone mi pigułki i rzeczywiście po użyciu 2—3 pigułek choroba została pokonaną, a dziś mój ulubiony wyżeł jest zupełnie zdrów i wesół.

Mam sobie za obowiązek fakt ten podać do wiadomości, by Panowie myśliwi i amatorowie psów w podobnych razach nie zostawiali swoich towarzyszów łowów, czy wiernych stróżów lub też faworytów bez pomocy na pastwę ciężkiej chorobie. *Fr. Fuchs,*
Dr. med., chirurg, etc.

Lipiec.

W numerze 5tym „Łowca“ rozpisuje się pan J. K. z Mądzielówki przeciw memu artykułowi o chorobach psów i ich leczeniu. Zrazu chciałem zaniechać odpowiedzi, ponieważ sz. korespondent oznaczając swoje imię i nazwisko początkowemi literami jest dla mnie anonimem, z którym polemizować trudno, następnie ponieważ twierdzenia sz. korespondenta uważam głównie z tej przyczyny za mylne, iż on widocznie artykuł mój ledwo pobieżnie przeglądnął, a związku i treści jego wcelu nie zrozumiał lub zrozumieć nie chciał, wreszcie ponieważ wywody sz. korespondenta wcale nie są uzasadnione, i nie odznaczają się konsekwencyą. Po namyśle jednak postanowiłem zarzuty owe niesłuszne odeprzeć jedynie w celu obrony prawdy.

Kto rozważnie mój artykuł odczytał, pewnie poweźmie przekonanie, że nosacizna (Staupe, Rotz) i psia choroba czyli psia zaraza (Hundeseuche) nie są jedną i tą samą chorobą, że one tylko do siebie są podobne. Na podstawie twierdzeń p. J. K. nie różniłby się u ludzi ból głowy idący z zepsutego żołądka od bolu głowy spowodowanego opilstwem. Obie te przypadłości wywołują ból głowy, ale pierwsza może za sobą pociągnąć febrę, a nawet tyfus, gdy druga tylko tak zwany katzenjammer. W artykule moim podałem przyczyny chorób u psów, chorób rozmaitych w miarę wpływów pory roku, klimatu, pożywienia i t. d., lecz ostatecznie główna ich przyczyna jest w żołądku. Rusin bardzo właściwie zwie żołądek „żywit“, bo w nim tkwi główny warunek zdrowia i życia każdego organicznego stworzenia.

Nie było moim zamiarem zapewniać, że po nosaciźnie musi bezwarunkowo wścieklizna nastąpić, lecz twierdziłem i twierdzę stanowczo, że w skutek nosacizny, jeżeli ona była zaniedbaną i pies nie zginął, z powodu stężenia soków krew się zakaża, co wywołuje dotkliwe cierpienia, a nawet szał. Pies wściekły (a na podstawie mego doświadczenia nawet pies mocno chory na nosaciznę), miota się i kąsa, bo wpada w skutek niezmiernych cierpień w szał, więc szarpie każdy przedmiot, jaki mu w drodze stanie, sądząc, iż tem ból straszny uśmierzy. Ztądto znajdujemy w żołądku psów, zabitych jako wściekłe, słomę, kawałki drzewa, szerść, pióra, czerepy i inne przedmioty, które znachodzimy również w żołądkach psów, które zginęły w skutek nosacizny. U psa mocno chorego na nosaciznę podobne pojawiają się symptomata, jak u wściekłego, objawy te wywołują szalony ból w żołądku i krtani. Wszakże do dzisiejszej chwili nieznaną jest przyczyna wścieklizny, znane są tylko przypuszczenia niedosyć uzasadnione. Ponieważ nosacizna i psia choroba głównie w żołądku się zagnieżdżają, przeto też żołądek leczyć należy, a doświadczenie mnie przekonało, że moje pigułki na obie te choroby nader są skutecznemi. Mogę się powołać na liczne pisemne uznania, które posiadam i ukazać mogę. Przeszło trzydzieści lat badam naturę psów, szczególnie legawych, hoduję je, i układam, próbowałem w razie ich choroby różnorodnych środków, zwidzałem rozmaite zakłady lecznicze zwierząt, byłem w nieprzerwanym stosunku z tymi zakładami. czytałem najwyborniejsze dzieła o chorobach psów i ich leczeniu, nigdy wszakże nie zdarzyło mi się spotkać z twierdzeniem, że jedynie ciepłe umieszczenie i lewatywa psa chorego na nosaciznę uleczyć mogą. Gdyby sz. korespondent z Mądzielówki był rozważnie odczytał i zrozumiał zakończenie mego artykułu, pewnie nie byłby mi zarzucił, że chory pies leczony memi pigułkami po wyzdrowieniu utraci węch lub podlegnie innym złym następstwom. Nie jestem weterynarzem, lecz praktycznym myśliwym, oddałem moje pigułki pod sąd i ocenę Towarzystwa łowieckiego, nie pragnę zysków, lecz pragnę mojem doświadczeniem przysłużyć się posiadaczom psów łowczych, więc wcale nie zasługuję na zarzut sz. korespondenta z Mądzielówki, iż według mojej teoryi pies pogryziony przez wściekłego musi naprzód dostać nosacizny. Jeżeli to żart, to wcale niewczesny, jeśli prawda wysnuta z mego artykułu, to nie zazdroszczę panu J. K. daru rozumienia cudzych twierdzeń. Praktyka okaże, czy lepsze lewatywa i ołowiane pigułki, czy mój środek leczniczy, na długoletniem doświadczeniu i badaniu oparty, *Karol Hostoński.*

W końcu Października z r. ubito na kapustniku kuropatwę. Śrót przedarł jej żołądek pełny tak, że niestrawiony jeszcze żer z niego się wysunął, mianowicie pięć gąsienic jakoteż mnóstwo nasienia różnych chwastów. Jeżeli się przeto przyjmie na stadko kuropatw tylko 15 sztuk, to z łatwością da się obliczyć, że owe ptaki przy swej dosyć wielkiej żerności, gdyby tylko w połowie gąsienicami się żywiły, zdołają w kapuście i burakach do szczętu wytępić robactwo, a obok tego wybierają nasienie różnych chwastów. Mała ilość spożywanych przez nie ziarn pszenicznych lub owsianych nie może wchodzić w rachunek, ponieważ kuropatwy wybierają tylko ziarna zmarniałe, nie mogące kiełkować, lub też na ścierniach pozostałe, nigdy zaś ziarna w kłosie. Byłoby przeto pożądanem, aby ze względu na istotną użyteczność tych powabnych, pola i łąki ożywiających zwierząt, rolnicy także je ochraniali i hodowali bardziej, jak dotychczas. Nie tylko więc myśliwy, ale również rozumny gospodarz rolny winien kuropatwy chronić od swawolnego lub złośliwego niszczenia gniazd, od łapek i sidełek, jakoteż w zimie od ptactwa drapieżnego, a w ciężkiej potrzebie podsypywać tym tyle dla rolnictwa użytecznym zwierzętom poślad lub nieużyteczną plewę.

Według doniesień Petersburskich gazet szkody wyrządzone przez wilków stanowią w rachunkach posiadaczy ziemi w okolicach Rossyi południowej znaczne i stałe kwoty. W obecnej chwili jednak szkodnictwo to bardzo się wzmogło. Koło Bachmutu, miasta okręgowego nad Donem w każdym niemal dniu wpadały wilki do owczarni. W pewnej majętności rozszarpały jednej nocy 180 owiec, a wypadki opadania ludzi bywały wcale częste. Podobne wiadomości dochodzą także z niektórych komitatów węgierskich.

Włoskie pismo myśliwskie „La Gaccia“ donosi, że w Esino koło Varedy w Wrześniu i Październiku z. r. łowiono przeciętnie w każdym tygodniu 600 tuzinów ptaków śpiewających. Sprzedawano je po 45 cnt. za tuzin. W Chignoto d'Isola przypadł 21 Października ogromny ciąg skowronków, trwający od 7 do 11 godziny rannej. Jeden tylko człowiek złowił w tym dniu 543 sztuk. Usprawiedliwionym musimy być przejęci gniewem, gdy pomyślimy, że nasze Ustawy ochraniające ptactwo śpiewające napędzają je obcym pod sieci, i dostarczają niegodziwego zarobku.

Kalendarz myśliwski obowiązujący w Prusiech na mocy Ustawy z 26 Lutego 1870 r. Według tej Ustawy wolno tam polować na łosie w Wrześniu, Październiku, Listopadzie; na jelenie i daniele samce od Lipca po koniec Lutego, na łanie i cielęta od połowy Października do końca Stycznia; na sarny rogacze przez cały rok z wyjątkiem Marca i Kwietnia; na sarny siuty tylko od 15 Października do 15 Grudnia; na młode sarny nigdy; na borsuki tylko w Październiku i Listopadzie; na głuszce, cietrzewie i bażanty koguty od Września do końca Maja; na dzikie kaczki przez cały rok z wyjątkiem Kwietnia, Maja i Czerwca; na dropie, bekasy i inne ptaki błotne i wodne z wyjątkiem gęsi i czapli przez cały rok z wyjątkiem, Maja i Czerwca; na kuropatwy tylko we Wrześniu, Październiku i Listopadzie; na głuszyce, cietrzewie i bażanty kury, na jarząbki, przepiórki i zające tylko od Września do końca Stycznia. Początek i koniec polowania na borsuki, kuropatwy, głuszyce, cietrzewie, bażanty kury, na jarząbki, przepiórki i zające rząd tylko o 14 dni zmienić t j. skrócić lub przedłużyć może. Kuropatw, zajęcy i sarn nie wolno chwytać w sidła. Wykraczający przeciw tym przepisom płaci za łosia 50 tal., za jelenia 30, za daniela 20, za sarnę, głuszca lub głuszycę, bażanta i łabędzia 10, za borsuka 5, za zająca 4, za cietrzewia, jarząbka tak koguta jak kurę i dropia 3, za kuropatwę, bekasa, kaczkę lub jakiegobądź innego ptaka błotnego i wodnego 2 talary. Wybieranie jaj i młodych zabronionem jest nawet osobom mającym prawo polowania. Tak samo wzbronionem jest wybieranie jaj czajkom i mewom. Kto w czasie powyższą Ustawą oznaczonym sprzedaje dziczyznę, płaci 30 tal. kary, a dziczyznę zabiera się. Tak jest w Prusiech. A u nas! U nas od dawna istniała Ustawa, lecz nikt jej nie przestrzegał, nikt przestępców nie karał. Dziś coraz bardziej budzi się w tym względzie poszanowanie dla prawa, a Władze coraz gorliwiej karcą wybryki kłusownicze.

Według statystycznego sprawozdania izby handlowej w Wyższej Austryi ubito tam w r. 1880: 622 jeleni, 9 danieli, 4132 sarn, 579 kozic, 25 dzików, 38.806 zajęcy, 77 królików, 213 głuszców, 60 cietrzewi, 290 jarząbków, 32 pardw, 20 kamionek, 5743 bażantów, 16.879 kuropatw, 716 przepiórek, 811 słonek, 31 bekasów, 27 dzikich gęsi i 1923 kaczek. — Z szkodliwej zwierzyny: 3 rysie, 1519 lisów, 380 kun, 405 tchórzów, 36 wydr, 345 kotów, 293 borsuków, 27 orłów, 105 puhaczów, 4419 jastrzębi, sokołów i krogulców i 805 sów. Najbogatsze w zwierzynę rewiry są rezerwowane dla cesarza, w których łowiectwo prowadzone jest ściśle według prawideł umiejętności łowieckiej. Zwierzostan we wszystkich 14 okręgach leśniczych wynosi mniejwięcej cyfry: jeleni 3500, kozic 4100, sarn 1600, zajęcy 1100, głuszców 500, cietrzewi 400, jarząbków 150, pardw 100, dzikich kaczek 250, słonek 100 sztuk. Naczelny dworski urząd łowiecki nie urządza polowań we wszystkich okręgach, niektóre są wydzierżawione. *Jagdzeitung.*

Kwestya łowiecko-prawnicza. Pewnemu włościaninowi czynił lis szkodę w drobiu, zanęciwszy się do kurnika wyprzątnął mu w kilku tygodniach kilkanaście kur i czworo gęsi. Wydarłszy ostrzeszek chlewka właził tam sobie swobodnie. Na podwórko dostawał się ten szalbierz dziurą w płocie, którą też napowrót się wymykał. Chłopu było tego zawiele, więc pożyczywszy sobie kuniej łapki u kuma kowala, nastawił ją przy owym dziurawym płocie kędy była droga temu niecnocie. Żelaza nastawił na noc, a o świcie patrzy, czy też lis się nie ułowił, niebyło lisa, ale niebyło także żelazek. Miejsce, w którem stały, widocznie zdeptane lisiemi łapami i farbą śnieg zabarwiony. Lis się złowił, lecz chłop nie upiął żelazek, co powinien był zrobić, łańcuszkiem do tego celu służącym do czegoś ciężkiego lub do płota, więc Mekita poszedł wraz z żelazkami aż do mego lasu, oddalonego o ćwierć mili od miejsca gdzie go ta smutna przygoda spotkała. Chłop przyszedł do mnie prosząc o pożyczenie psa jamnika w celu ujęcia lisa i odzyskania żelazek, które obadwa przedmioty według jego mniemania były jego własnością. Jamnika nie dałem i szukać lisa niepozwoliłem, sam jednak wybrałem się za nim, co było łatwem, bo mieszkałem w pobliżu lasu, gdzie była nora, do której się lis skrył wraz z żelazkami. Śnieg był duży, więc trop, a raczej ślad lisiego pochodu, niby czerwono nakrapiana wstęga, wił się środkiem pola, pokrytego śniegiem. Lis miejscami mocno farbował. Jamnik w jednej chwili wziął trop na wiatr, pomknął nim do lasu i wkrótce motłosił się z lisem w norze. Udusił go, lecz mimo przymiotu swego aportowania nie mógł go wyciągnąć z jamy. Zwołałem

ludzi, i z wielkim trudem, rąbiąc zamarzłą ziemię oskardami udało się nam po kilkugodzinnej pracy dostać uduszonego lisa wraz z żelazkami u przedniej łapy. Chłop dowiedziawszy się o tem przyszedł po swego, jak mówił lisa, a kowal po żelazka. Nie oddałem ani jednemu ani drugiemu uważając lisa i żelazka, znalezione na moim gruncie i moim trudem za swoją własność. Nie szło mi o lisa i liche żelazka, lecz o zasadę. Kowal zagroził mi procesem, wtedy już na upór żelazek mu nie zwróciłem. W skutek perswazyi adjunkta sądowego w Niż....., którego szanowałem, oddałem kowalowi żelazka, jednak nie z przekonania, lecz powodując się sędziemu, z którym następnie długo się certowałem, on starał się mnie przekonać paragrafami i komentarzami, ja jego zdrową logiką. Więc *adhuc sub judice lis est*, kompetentnych proszę o rozstrzygnienie.

Gawin.

W ostatnim numerze „Łowca“ zalicza p. Ubysz żółwia do skorupiaków, kiedy on należy do gadów *(reptilia)*. Inne również zoologiczne błędy popełnia sz. Ubysz, a szkoda, bo to bystry obserwator. *M. W.*

Zwracamy uwagę naszych czytelników, przeważnie rolników na świeżo wyszłe dzieło pod tytułem: „Podręcznik do hodowli bydła rogatego“. Tom I. przez Antoniego Popiela, Lwów 1882. Wstrzymujemy się od obszerniejszej oceny tego dzieła w przekonaniu, że wkrótce bardziej kompetentne pióro tem się zająć zechce.

W Sierpniu strzela się u nas do jeleni, kozłów, przepiórek, dzikich gołębi, dropi, ptactwa błotnego i wodnego, a od połowy tego miesiąca do bażantów i kuropatw.

OGŁOSZENIA.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.